AS



Nr. 18.
3 MAJA 1936 ROKU.
CENA 40 GROSZY.

KOBIETA
i 100 HP

W rocznicę zbrojnego czynu Górnego Śląska.

W barwnym kobiercu ziem polskich błyszczącym złotem zbóż kujawskich, rdzą żyznych ziem Podola, głęboką zielenią lasów litewskich i szafirem Bałtyku, brakowało jednego tonu, jednego akcentu, poważnego, któryby stał się niejako podkreśleniem tamtych kolorów — czerni śląskiego węgla. Ale nie można patrzyć na ten brak jedynie z punktu widzenia ekonomicznego: brakło w chórze dzieci polskiej ziemi, chwalących Stwórcę za odzyskanie Ojczyzny, potężnego głosu śląskiego robotnika, który mimo germanizacji pozostał Polakiem. Dziś, gdy po raz piętnasty powtarza się rocznica trzeciego powstania śląskiego i gdy możemy spojrzeć na te fakty z perspektywy historji, widzimy jak bardzo polską pozostała ziemia śląska. Gdy po klęsce Niemiec Śląsk pozostał zgodnie z traktatem wersalskim pod okupacją państw koalicyjnych, nad starym krajem piastowskim szły wici, wzywające wszystkich jego synów do boju o przynależność do Rzeczypospolitej. Na znak protestu przeciwko władzom niemieckim, wybucha dnia 16 sierpnia 1919 r. powstanie w powiatach pszczyńskim i rudnickim oraz części Zagłębia. Dopiero w lutym 1920 r. przybywają wojska koalicyjne, a w Opolu rozpoczyna urzędować komisja międzysojusznicza pod wodzą francuskiego generała Le Rond. Wkrótce potem, bo w sierpniu 1920 r. wybucha drugie powstanie górnośląskie, zwrócone przeciwko codziennym gwałtom Niemców. Plebiscyt, mający zadecydować o przynależności państwowej prowincji śląskiej, odbywa się 19 marca 1921, przyczem Niemcy używają wszelkich niedozwolonych sposobów i teroru, aby Śląsk głosował za Rzeszą. Gdy głosowanie prowadzone per fas et nefas wykazało większość głosów niemieckich, polski lud śląski zrywa się do trzeciego powstania, mającego na celu wykazanie światu właściwych sympatyj w starej dzielnicy piastowskiej. Wielki ten czyn orężny ludu śląskiego rozpoczyna się w nocy z dnia 2 na 3 maja 1921 i trwa blisko dwa miesiące na obszarze od Brynicy po Odrę. Tysiące ofiar znaczą szlaki powstania, a zaciekła bitwa pod Górą św. Anny trwa dni kilka. Zbrojny czyn Ślązaków zdziera zasłonę z dyplomatycznych frymarków i powoduje, iż decyzją mocarstw koalicyjnych Polska otrzymuje w październiku 1921 roku obszar 3.225 kw. kilometr. z blisko miljonową ludnością. Polsce przypadają **Katowice**, Mysłowice, Królewska Huta, Świętochłowice, wiele innych miast i wsi.



Maciej hr. Mielżyński walczył o przynależność Slaska do Polski jako dowódca trzeciego powstania.



Na lewo: Zaprzysiężenie oddziału kosynierów śląskich, które odbyło się w Szopienicach w maju 1921 roku.

Poniżej: Medal, skomponowany przez znanego artystę prof. Jana Wysockiego na pamiątkę złączenia Górnego Śląska z Polską.



Słusznie trzecie powstanie górnośląskie stanowi chlubę tej ziemi: walczyło w niem dzielnie kilkadziesiąt tysięcy ochotników, podzielonych na trzy grupy operacyjne. Północną dowodził kpt. Neugebauer-Nowak, grupą wschodnią p. Hauke-Grzesik, wkońcu grupą południową p. Sikorski (Cietrzew). Wybitną rolę odegrał Maciej hr. Mielżyński, znany wtedy pod pseudonimem Nowina-Doliwa.

Gdy w dniu 2 maja br. nastąpi w Katowicach otwarcie wystawy pamiątek powstańczych i odbędą się liczne uroczystości, nie będzie to zwykłym jubileuszem, lecz przypomnieniem zasług braci śląskich. **J. G. M.**

Poniżej: Chwila poświęcenia przez księdza polskiego powstańczego pociągu pancernego „Kabicz" w okolicy Gliwic.



Poniżej: Pozycja artyleryjska powstańców śląskich w walce z Niemcami.





Raport powstańców śląskich, noszących jeszcze pruskie mundury — wedle współczesnej fotografji.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 18 **Niedziela 3 maja 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 18-GO:



Fot. Wide World — Londyn.

Czasy powojenne wprowadziły na posadzkę salonów i dancingów liczne tańce egzotyczne, cieszące się olbrzymim powodzeniem. Obecnie taniec kobiet hawajskich „Hula" stał się w U. S. A. ostatnim przebojem, to też liczne młode Amerykanki uczą się u kobiet hawajskich arkanów tego tańca, jak to widzimy na naszem zdjęciu.

NOWOCZESNE WNĘTRZE

W PROJEKTACH ARCHITEKTA EDMUNDA NOWAKA



Na prawo: Kominek z marmuru kararyjskiego i białego metalu.



Na lewo: Gabinet o prostych, lecz wytwornych linjach.

Kraków, posiadający tradycję najstarszych artystycznych warsztatów meblarskich, zajmuje i dziś przodujące stanowisko w projektowaniu i rozplanowaniu współczesnego, polskiego domu.

Utalentowany artysta Edmund Nowak po ukończeniu Państwowej Szkoły przemysłu artystycznego i architektury wnętrza w Krakowie, uzupełnił swą wiedzę, pełniąc pracę w charakterze asystenta prof. Wojtyczki, oraz przez liczne podróże zagranicę. Edmund Nowak współpracował w wyposażeniu wnętrza gmachu województwa śląskiego, wykonał szereg projektów, urządzeń mieszkalnych oraz sklepowych, m. in. aptekę na krakowskim Gł. Rynku, a zająwszy kierownicze stanowisko w wielkiej wytwórni meblarskiej M. Robak w Mysłowichach, wykonał cały szereg projektów i realizacyj wnętrz.

Edmund Nowak pojmuje swą rolę architekty wnętrza głęboko i twórczo. Wypowiedział się nam, iż mieszkanie projektuje najchętniej tym klijentom, którzy powierzają mu uposażenie i skomponowanie całości mieszkalnego wnętrza. Architekt kształtujący mieszkanie dla kogoś, zapoznać się musi dokładnie nietylko z kubaturą budynku, lecz z celami, dla jakich dane wnętrze służy. Przedewszystkiem poznać musi dokładnie charakter osobisty klijenta, jego upodobania i przyzwyczajenia. Po zbadaniu warunków topograficznych mieszkania i psychicznych właściciela, architekt projektuje z uwzględnieniem materjału, obicia, koloru ścian i oświetlenia.

Architekt czuwa nad sharmonizowaniem całości i odpowiednio dostrojonem oświetleniem, kontroluje wykonanie mebli przy warsztacie, wprowadzając potrzebne zmiany na korzyść całości.

Obmyśla dekoracyjne elementy, dające odpowiedni pożądany efekt, wybiera materjał na pokrycie podłogi, dywany, firanki, a wreszcie ceramikę, obrazy i grafikę, zawieszone w przeznaczonem miejscu.

Ze szczególną troską bada projektodawca warunki oświetlenio-



Tapczan z wbudowanemi półeczkami na książki.

we, gdyż współczesne wnętrze mieszkalne wymaga celowego i zestrojonego oświetlenia.

Każde wnętrze pojęte bywa różnorodnie, a sposób ukształtowania wymaga dużej rutyny, wyczucia charakteru w ujmowaniu kompozycyjnem każdego pokoju.

W dzisiejszej epoce serjowej wytwórczości mebli, mieszkanie nie może mieć standaryzowanego charakteru, lecz musi być zróżnicowane, stosownie do potrzeb duchowych i rodzaju zajęcia mieszkańca.

Każdy element podporządkowany jest naczelnej woli i spełnia jakąś logiczną funkcję. Żaden przedmiot nie może być bezmyślną zawadą, jak to bywało w urządzeniu mieszkań XIX w., kiedy to dążono do naśladownictwa bogatych stylów historycznych taniemi środkami.

Zaletami współczesnego wnętrza mieszkalnego to celowy dobór przedmiotów, funkcjonalność, solidność materjału, wygoda i higjena.

zuje jego urządzenie gabinetu inteligenta, w którym wszystkie elementy wiążą się w logiczną kompozycję, a wnętrze wypełnione jedynie kilku przedmiotami czyni wrażenie wytworne i niezwykle miłe w swej prostocie. Specjalnością arch. Nowaka, to pomysłowe komponowanie mebli, w których każdy szczegół obmyślany jest w bryle, kolorze i oświetleniu.

Arch. Nowak umie dysponować różnorodnością wszystkich elementów konstrukcyjnych, a więc i licznemi pięknemi gatunkami drzewa, metalu białego, aluminjum, oraz szkła.

Wie o tem, iż drzewo dyktuje formy, wiązania i konstrukcji. Umie wybrać odpowiednie formy statyczne i funkcjonalne dla każdego przedmiotu. W konstrukcji stołu, czy też kredensu, nie zatraca urody drzewa, lecz podkreśla ją odpowiednią politurą nadzwyczajnej technicznej jakości. W kompozycji wnętrza unika niebezpiecznej przesady, lub też tak częstej zabójczej monotonji.





Na lewo: Urządzenie jednej z aptek krakowskich, według projektu architekty E. Nowaka.

Toaleta z ruchomem zwierciadłem.

W kompozycji wnętrza koncentruje uwagę w jednym kierunku, podkreślanym dekoracyjnemi akcentami. W dawnem mieszkaniu dużą rolę odgrywał przypadek, w nowem wszystko musi być przemyślane logicznie, i mieć przekonywujący sens, musi tworzyć plastyczny wyraz współczesnej epoki, który formuje architekt wnętrza. Mieszkanie dawnych epok naśladowało więcej lub mniej niedołężnie historyczne stylowe pałace. Współczesność tworzy wnętrze mieszkalne zgodne z duchem i charakterem jednostki, która w burzliwem życiu współczesnem pragnie znaleźć w swym domu piękno i spokój. **M. Dienstl-Dąbrowa.**

Architekt współczesny stoczył zwycięską walkę z dawnym blichtrem, fałszem, obłudą, pseudostylowych namuleń. Architekt odkażył i uzdrowił nasze mieszkanie, wygnawszy precz wszelką przypadkowość i nonsens estetyczny.

Dla nowego człowieka tworzy się nowe środowisko zapewniające mu korzystne warunki higjeniczne życia, wiążącego się dziś ściśle z przyrodą.

Światło, powietrze, ogień i woda po raz pierwszy w historji ludzkości ujęto w mechaniczne karby techniki i funkcjonalności współczesnej sztuki wnętrza.

Konieczność ograniczenia powierzchni mieszkania do jednego, lub dwóch pokoi, zmusza architekta do rafinowanej pomysłowości w projektowaniu szczegółów poszczególnych mebli i kształtowania przestrzeni.

Zdolny architekt ma pole do popisu w wyszukiwaniu coraz to nowych form mebli i nadawania im klasycznych zalet. Prostota wykwintna, wygoda higjena i czystość — oto zalety współczesnego mieszkania, które staje się przemyślaną celką do hodowli nowego człowieka.

Hasło „więcej światła, więcej powietrza“, jest obowiązującą naczelną zasadą wszelkiej kompozycji wnętrz.

Edmund Nowak celuje w projektowaniu zwłaszcza kredensów i szaf. Wiele pomysłowości wyka-



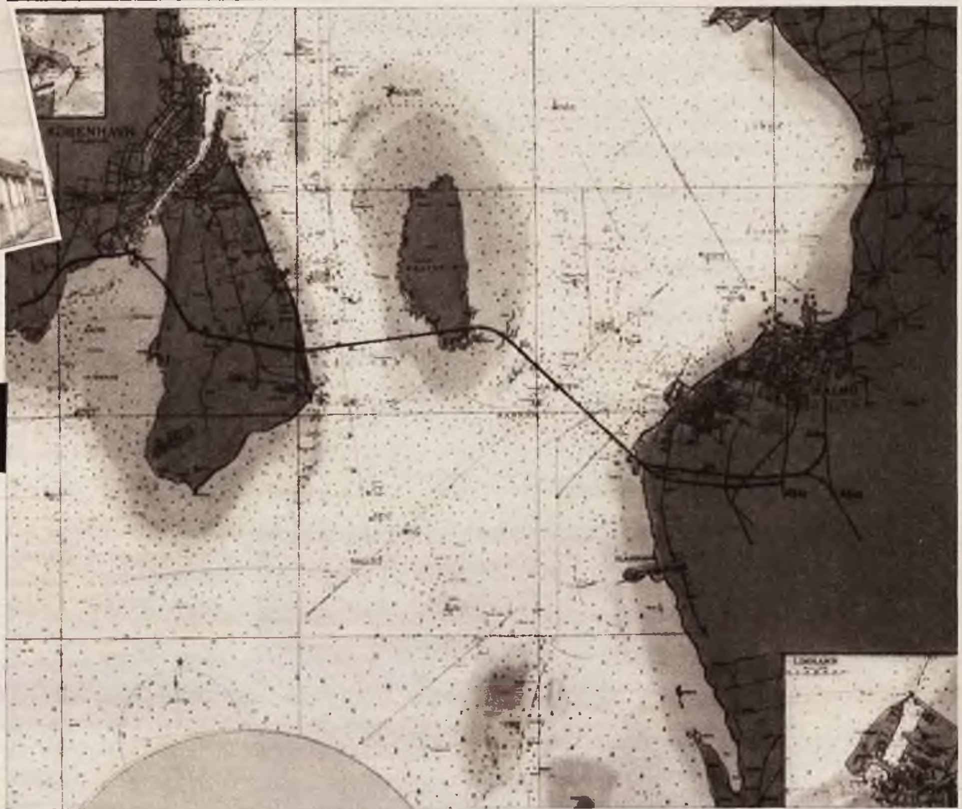
Uniwersalna szafa bibljoteczna połączona z bufetem barowym.

Lądy się zbliżają



Ogólny widok mostu w jego pierwszej części.

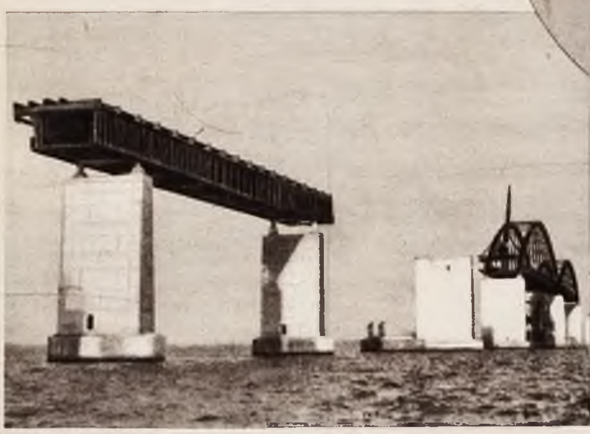
Na prawo: Mapka uwidaczniająca połączenie Szwecji z Danją gigantycznym mostem.



Cały ląd, nietylko europejski, zaczyna powoli przypominać mieszkanie, które ktoś przemeblował, tak zasadnicze nastąpiły tu w ostatnich stu latach zmiany. Istotnie genjusz ludzki i pomysłowość są olbrzymie: jeżeli klasycznym niejako przykładem ich były do niedawna piramidy egipskie i system nawadniania Egiptu, lub też olbrzymie budowle Asyryjczyków, to w ostatnim wieku słynni inżynierowie zdobyli się, jeżeli nie na większe, to w każdym razie równie imponujące wyczyny techniczne. Stworzenie kanału Sueskiego przez Ferdynanda de Lesseps, zbudowanie kanału Panamskiego, olbrzymie tamy, wstrzymujące napór wód, powstałe w różnych częściach świata, przekopanie tunelu św. Gotarda, różne kolejki wysokogórskie, przypominające pajęczynę, po której opuszczają się drobne wagoniki, koleje elektryczne i tyle innych dzieł technicznych zmieniły wygląd wielu okolic szerokiego świata. One wszystkie zbliżają do siebie lądy, czynią podróż łatwiejszą i... pomniejszają świat.



W kilku miejscach będą mogły pod mostem przejeżdżać nawet duże statki.



Na lewo: Oto jak powoli powstaje gigantyczny most.

Jest rzeczą znaną, że zwłaszcza narody ubogie zmuszone zdobywać przemyślnością dobrobyt, najwięcej dokazały w zakresie techniki. Do takich narodów należą przedewszystkiem Szwedzi i Szwajcarzy, którzy ze swoich ubogich krajów uczynili niejako wzór dobrze zagospodarowanego i mimo wszystko zamożnego państwa. Ale oto słyszymy o nowem, gigantycznem przedsięwzięciu, zaprojektowanem przez szwedzkich i duńskich inżynierów, które stanie się nowym punktem wyjścia dla handlu, przemysłu i komunikacji wszelkiego rodzaju dwóch państw północnych. Według szczegółowo opracowanego planu rozpoczną się wkrótce prace nad zbudowaniem olbrzymiego mostu, łączącego Danję z Szwecją. Pracami kierować będzie słynny duński architekt prof. Linton wraz ze Szwedem, Norderem, i licznymi, oczywiście, innymi współpracownikami. Most prowadzić będzie z portowego miasta Malmö, do wyspy Saltholm, a z niej na wyspę Amager, z której znów biegnąć będzie do stolicy Danji, Kopenhagi. Rozmiary mostu są olbrzymie: w całości wynosi długość jego 17,3 klm., a podzielony on jest w ten sposób, że z Malmö do wyspy Saltholm wynosi 7,1 klm., na wyspie Saltholm biegnie na przestrzeni 3,6 klm., w końcu z Saltholm do Amager i Kopenhagi 6,6 klm. Podstawy mostu wynosić będą na morzu 300, 200, 100 i 80 m., a cała budowla skonstruowana będzie z żelaza i betonu. Dzięki szerokości górnej części mostu, wynoszącej 23 m., będzie mogła się odbywać na moście komunikacja zarówno koleją elektryczną, jak autobusami, ale również i rowerzyści i piesi będą mieli nań wstęp wolny. Część mostu poświęcona kolejom będzie z betonu, droga dla pieszych i rowerzystów z asfaltu. Oczywiście, że olbrzymim rozmiarom mostu odpowiadają też duże koszta: 132 miljonów koron szwedzkich będzie kosztował ten olbrzymi most, który zatrudni przez 6 lat około dwóch tysięcy bezrobotnych. Mimo trudności, piętrzących się na drodze przy wykonaniu tego gigantycznego planu, korzyści z mostu będą olbrzymie: Szwecja stanie się niejako częścią kontynentu europejskiego i „zbliży się" do Europy centralnej o cztery godziny, do Europy wschodniej zaś o jeden pełny dzień. Most stanie się bezpośrednim łącznikiem między odległą stosunkowo Skandynawją, a Europą środkową, co bezwątpienia wpłynie nietylko na rozwój stosunków handlowo-przemysłowych, ale też politycznych.

I znów ręka pomysłowego człowieka zmieni obraz natury, ulepszając ją niejako i czyniąc ją jeszcze bardziej niż dotychczas podległą jego planom.

John G.



Obok kolei elektrycznej będą mogły na moście kursować swobodnie samochody i rowerzyści, jakoteż piesi.

Pamiątki krakowskie.





Dmuchawka z poruszającą się harmoniką.

Na lewo: Figura gipsowa, przedstawiająca słowiańską boginię.

Poniżej: Figurki z włóczki.



Obywatelski Komitet „Dni Krakowa" zorganizował konkurs, mający na celu pozyskanie pomysłowych i o artystycznym charakterze pamiątek z Krakowa.

Zagranicą przemysł pamiątkowy rozwinięty jest w wysokim stopniu i niemal każdego sezonu dostarczają artyści ciekawych projektów, wyrabianych masowo i sprzedawanych po taniej cenie. Zabiegi krakowskiego Komitetu w tym kierunku są niezwykle pożyteczne, lecz niestety wskutek nieznajomości wzorów i charakteru tego rodzaju przemysłu artystycznego wynik obecnego konkursu był bardzo słaby. Udział brali w nim wyłącznie uczniowie Państwowej Szkoły Przemysłu Artystycznego, którzy wykazali duże poczucie formy i techniczne wyrobienie, lecz niestety brak koniecznej w tej sprawie inwencji. Do najcenniejszych należy dmuchawka sklejona z kolorowego papieru, utrzymana w krakowskim charakterze, najlepszy okaz na wystawie urządzonej w Muzeum Przemysłowem. plonu konkursowego. Duże techniczne zalety posiadają prace z włóczki, lecz przypominają zanadto przemysł pamiątkarski rosyjski i wiedeński. Komitet nie powinien zrażać się dotychczasowemi wynikami. Koniecznem jest zainteresowanie potrzebami artystycznemi Krakowa szerokich sfer artystycznych Polski.

Komitet *„Dni Krakowa"*, wykazujący tak wszechstronną ruchliwość, dobrze przysłuży się sprawie propagandy miasta i stworzy nowe źródła zarobku dla młodzieży szkół artystycznych.

m. d. d.



Na lewo:

Kałamarz, przedstawiający figurkę Twardowskiego, oraz piesek.

»Gwiazdy« nad Krakowem...

Są gwiazdy na niebie, o których tylko wiemy, że istnieją w wszechświecie, a których gołem okiem dostrzec nie jesteśmy w stanie. I by je raz wreszcie zobaczyć stajemy przed teleskopem, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wprowadza nas w ich świat, pełen tajemniczego uroku...

Takim teleskopem w odniesieniu do „gwiazd", które błyszczą na firmamencie teatralnym, staje się dla nas... przypadek, ściągający nieraz na deski sceny rewjowej prawdziwy „deszcz meteorów"...

Ostatnie tygodnie życia teatralno-rewjowego w Krakowie stały właśnie pod znakiem „inwazji" takich wędrujących wielkich gwiazd. Nie poraz pierwszy zabłysły one na naszym horyzoncie... Znamy ich blask, czysty i zawsze żywy. Ale właśnie dlatego, ilekroć pojawią się przed naszemi oczami, oczekujemy nowych wrażeń, które znów w innej formie na długo pozostaną w naszej pamięci.

Hanka Ordonówna — to niewątpliwie najlepsza nasza diseuse'a. Każdy jej występ na scenie, czy estradzie wzbudza zainteresowanie przedewszystkiem kulturalnej publiczności, która potrafi ocenić wyjątkowy kunszt interpretacyjny tej wielkiej artystki. Można śmiało powiedzieć, że każda piosenka, wykonywana przez Ordonówną, jest małem arcydziełem gry aktorskiej, tanecznego gestu i śpiewaczej swady. A że skala interpretacyjna artystki jest bardzo wielka, nic dziwnego, że tylko ona jedna mogła się pokusić o wykonanie tak różnorodnej w nastrojach i zmiennej w charakterystyce piosenki, jak np. „Ewa". I gdyby przyszło sądzić o talencie Ordonównej tylko na podstawie tej jednej pieśni, nie znalazłby się chyba nikt taki, ktoby właśnie jej nie przyznał palmy pierwszeństwa i to nietylko wśród polskich pieśniarek.

Ostatnie występy artystki w krakowskiej rewji wpłynęły niewątpliwie na podniesienie się poziomu przedstawień, do czego zresztą niemało przyczynił się i pozostały zespół aktorski. Piosenki Ireny Różyńskiej, duet Lawińskiego i Sulimy, balet z Relską i Ostrowskim na czele: wreszcie fascynujący wszystkie panie występ „gwiazdora", Igo Syma — oto walory, które uczyniły z tych przedstawień naprawdę wartościową i wyrównaną imprezę. el.



Świetna nasza diseuse'a Hanka Ordon w stylizowanym kostjumie hiszpańskim.
Fot. Drozd — Bielsko.



Na lewo: Ludwik Lawiński i Jerzy Sulima-Jaszczołt, znakomici wykonawcy groteskowej piosenki „pana Dłótki i pana B."
Fot. „As".



Jeden z najsympatyczniejszych naszych amantów filmowych i scenicznych, Igo Sym.
Fot. Dorys — Warszawa.



Na lewo: Hanka Ordon w obrazie hiszpańskim, w otoczeniu doskonałego zespołu tanecznego baletmistrza Konrada Ostrowskiego (x).
Fot. „As".

ZMIERZCH I PORANEK

ADAM RAPACKI

NOWELA

Srebrzysty śmiech tryskał jasną kaskadą z otwartego okna i odbijał echem od ścian podwórza.

Jaki szczery, jaki niewinny i swobodny uśmiech! Skąd wziął się ten radosny, wiosenny potok wesołości na szarem podwórku?

Płynął on wartką, spienioną falą z otwartego okna oficyny, gdzie na trzeciem piętrze w małym i skromnym pokoju znajdowały się dwie osoby:

Mężczyzna i kobieta.

Zapatrzeni w siebie, zasłuchani w dźwięk własnych słów, radośni i bezkrytyczni — zapomnieli o wszystkiem, co nie było niemi dwojgiem. Cały świat przestał dla nich istnieć, ponieważ byli sobie wzajemnie całym światem. Wieczność nie potrafiłaby ich w tej chwili zatrwożyć swym bezkresem, ponieważ chwila obecna była ich wiecznością, a czas dla nich nie istniał. — Ona mówiła coś do niego, on jej odpowiadał i właśnie te jego odpowiedzi wywoływały raz po raz wybuchy niepowstrzymanej wesołości.

Jego imię brzmiało Jan, a jej Halina.

On był wysoki, nieco pochylony. Wyższy od niej. O tak, o wiele wyższy od maleńkiej osóbki stanowiącej jego szczęście. Jasnowłosa główka jego towarzyszki musiała przechylać się wdół, ku plecom, żeby dwie pary oczu mogły w sobie zatonąć. Włosy mężczyzny były również jasne, tak jak i jej włosy. Cokolwiek jaśniejsze nawet. Były już bowiem siwe.

Mężczyzna ten liczył lat siedemdziesiąt dwa, kobieta zaś była dużo młodsza. Niedawno skończyła piąty rok życia.

Starzec i dziecko.

Dwie istoty, z których jedna nie weszła jeszcze w obręb stalowego koła życia, a druga została już przez ten pierścień usuniętą nazewnątrz — odtrącona.

Tych dwoje znalazło się na jednej płaszczyźnie. Skoro się spotkali — wyciągnęli ku sobie ramiona i złączyli serca.

Pan Jan był emerytem. Żył samotnie i nikt go nie odwiedzał. Widocznie więc nie miał już na tym świecie nikogo.

Pewnego dnia jednak ktoś zapukał nieśmiało do jego drzwi, a gdy otworzył, ujrzał przed sobą dziewczynkę, która mogła mieć cztery, pięć lat i która patrzyła w niego oczami rozwartemi szeroko.

Pan Jan spojrzał w te oczy ciekawie.

Były one niebieskie, duże i przestraszone.

— Czego chcesz dziecko? — zapytał stary człowiek łagodnie.

— Mama się kłania i kazała pana się spytać, żeby był łaskaw pan pożyczył mamie na chwilę i czy pan ma pióra i atramentu, bo mama zaraz odda.

Zawiłe zdanie zostało wypowiedziane jednym tchem.

Staruszek obejrzał się machinalnie na biurko i na chwilę stropił się. Oddawna już nie pisał do nikogo i atrament wysechł w kałamarzu, a pióro było nadłamane i rude od rdzy.

Przez chwilę panowało przykre dla obojga milczenie. Dziewczynka wciąż stała w progu i patrzyła w pana Jana z coraz większym niepokojem, skubiąc nerwowo czerwony fartuszek.

— Mama się kłania, żeby pan pożyczył pióro... — zaczęła swój monolog powtórnie, tym razem już bez przekonania, ale na początku zająknęła się i zamilkła.

Nie miał. Nie miał ani pióra, ani atramentu, ale poszedł nadół, do sklepiku, kupił żądane przedmioty i wręczył je czekającej na korytarzu dziewczynce ze słowami:

— Zanieś to mamusi, a jeżeli będziesz miała trochę czasu, to przyjdź do mnie na chwilę. Pokażę ci ładne obrazki i opowiem ciekawe bajeczki. Tylko przyjdź napewno... moje dziecko — dorzucił ciepłym, proszącym tonem.

I przyszła.

Przyszła na to swoje pierwsze w życiu rendez-vous z mężczyzną i pozostała u niego całe dwie godziny. Widocznie więc obrazki musiały być naprawdę śliczne, a bajki nadzwyczaj ciekawe. Dziewczynka oceniła je nieświadomie, lecz trafnie. — To piękne! — powiedziała, oglądając dużą i grubą księgę, która zawierała reprodukcje obrazów rozmaitych malarzy.

Byli tam Rubens, Matejko, Tycjan, Rembrandt... Sami tacy.

— To takie śliczne... — szepnęła, słuchając opowieści o wróżkach, mówiących zwierzętach, o żołnierzu ołowianym, a mimo to dzielnym i odważnym, o choince, która cierpiała jak człowiek...

Były to bajki Andersena, Laboulay... samych takich.

Potem przychodziła Halusia do pana Jana coraz częściej — wreszcie codzień. No i naturalnie z biegiem czasu porzucili balast konwencjonalizmu i przeszli na „per ty". Zamiast „moja maleńka" — zaczęło się mówić poprostu: Halusiu, a miejsce „łaskawego pana" zajął „dziadzio Jaś". — Zmiana ta ułatwiła wielce wspólne pogawędki i zabawy.

Bo nietylko obrazki i bajki zapełniały im czas. Różne inne rozkosze stanęły do dyspozycji również, jak np. „Ciuciubabka" — „w chowanego" — „w kotka i myszkę" i t. p.

Pan Jan przeobraził się gruntownie i z nieco sztywnego starego pana zmienił się w hałaśliwego, jowialnego sowizdrzała i bon vivant'a. Śmiał się i dokazywał razem z Halunią tak głośno, że po sieniach zdumione sąsiadki mówiły sobie, kiwając głowami:

— No, moja pani, widziała pani, jak tyż to kobita chłopa odmieni...

Pan Jan często sadzał Halunię na jedno kolano i to nazywało się jazdą konną. Ruszając rytmicznie kolanem, dziadzio Jaś śpiewał, a raczej mruczał: Jedzie, jedzie pan, pan, na koniku sam sam.

W bridża jakoś nie grali. (Zapewne z braku partnerów). Ale zato bawili się w „chorego kotka", a to podobało się Haluni najbardziej. Pan Jan odgrywał w tej zabawie rolę pacjenta, Halunia zaś była lekarzem.

Dziadzio Jaś kładł się na kanapkę, zwijał się w kłębek i miauczał dosyć nieudolnie. Halunia wkładała na nos okulary i zbliżywszy się do „łoża chorego", zatapiała weń poważne, badawcze spojrzenie.

Teraz pan Jan zaczynał:

— Pan kotek był chory i leżał w łóżeczku. Halunia ciągnęła dalej:

— „I przyszedł kot-doktór: Jak się masz koteczku?" Ostatnie słowa buczała dziewczynka swym dziecięcym basem, usiłując stropić lekkomyślnego pacjenta. Teraz rozlegał się chropowaty dyszkant pana Jana:

— Źle bardzo... i rękę wyciągnął do niej. Tu zawsze następowała przerwa. Halunia bowiem na widok skulonego pana Jana i na dźwięk jego głosu wybuchała niepowstrzymanym śmiechem i długo nie mogła się uspokoić. Gdy wreszcie poczuła się znów jako lekarz „w formie" — dialog płynął ponownie swym torem.

— „Za wiele się jadło!" — gromiła dziewczynka możliwie jak najgrubszym głosem, podnosząc przytem wskazujący paluszek prawej rączki nieco powyżej oczu, wytrzeszczonych groźnie z ponad okularów.

(Pan Jan tak mało zaiste wyglądał na obżartucha, że i tu można było parsknąć śmiechem, ale ten smutny kontrast była dla oczu dziecka jeszcze niedostrzegalnym).

I zabawa szła dalej aż do końca i powtarzała się podczas każdej wizyty Haluni u pana Jana.

Pewnego razu dziewczynka ni z tego ni z owego zapragnęła lalki.

— Mama nie może mi kupić — rzekła ze smutkiem, a po chwili dodała cichutko:

— Fela ma taką ładną lalkę... ale bije ją, jak jest niegrzeczna. — Jabym nie biła...

— Tybyś nie biła...

Pan Jan zadumał się nad czemś głęboko, patrząc w podłogę.

— Lalka by była moja córka, a ja by była mamusia — gaworzyła sobie Halunia pół na pół do pana Jana.

A tymczasem on rozpamiętywał sobie dawne czasy. Miał kiedyś żonę i miał z nią córkę. Dzisiejszy emeryt pamiętał ciągle śmiech i łzy dziecięce swej jedynaczki. Jej zabawy, jej radości i smutki. — Jej lalkę...

Dziecko zmarło wcześnie, a za niem wkrótce poszła i matka. Ale laka pozostała. I była jedynym węzłem łączącym pana Jana z wspomnieniami młodości i szczęścia.

Ale przyszła Halunia.

Przyszła po długiej, podbiegunowej nocy, otaczającej starego już teraz człowieka i przez to samo, że się pojawiła — stała się dla niego wschodzącem słońcem.

Stary człowiek przypomniał sobie, co to jest uśmiech. Stary człowiek powrócił na chwilę do życia. Stary człowiek uczuł, że jeszcze zdolny jest kogoś kochać. A świat żyje miłością.

Ta słoneczna „recydywa" była jego długiem wdzięczności względem dziecka, które pragnęło lalki. Przyszedł czas, że ten dług należało spłacić.

Wstał i zbliżył się do szafy, z której wyjął tekturowe pudełko, przewiązane brudnożółtą, niegdyś różową wstążeczką. Począł rozwiązywać węzeł, zadzierzgnięty przed bardzo wielu laty, a praca jego starych pomarszczonych rąk trwała długo i szła mu niezręcznie. Palce drżały, cofając się mimowolnie przed tą czynnością.

Z pudła wydobył lalkę. Śliczną niegdyś i dużą lalkę, która obecnie była już tylko wspomnieniem dawnej świetności.

Emeryt ujął lalkę w ręce i chwilę stał bez ruchu, zwrócony tyłem do małej Haluni.

Wreszcie, nie odwracając się, szybko wyciągnął poza siebie rękę, trzymającą lalkę wpół.

— Masz, dziecko, weź sobie tę... Ale pan Jan przerwał to zdanie. Może chciał powiedzieć: weź sobie tę moją jedyną pamiątkę po szczęściu.

Zapewne. Zapewne chciał powiedzieć coś podobnego, ale Halunia jeszcze nie mogła domyśleć się tego.

Ujęła lalkę i kołysała ją na rączkach z miną pełną radosnej pogody. Wtem zatrzymała się w swym jednostajnym ruchu.

— Dziadziu — wyszeptała w zdumieniu — dziadziu, ona płakała! Ona ma łzy na twarzy!

Och! — Jakżeż bezgranicznie szczęśliwe było to dziecko, które w swej naiwności nie domyśliło się, że te łzy... mój mocny Boże!! Że to nie lalka płakała przed chwilą.

Halunia przytuliła lalkę mocno do serca i wzruszona podniosła na ofiarodawcę wzrok pełen wdzięczności. Pan Jan spłacił dług wobec dziecka.

A to daje przecież także coś w rodzaju odrobiny szczęścia

— — — — — — — — —

Płynął dzień za dniem. Minęło lato, przeszła jesień, stopniała zima i zawitała wiosna.

Pan Jan kocha wiosnę, bo dla każdego starca wiosna — to jego miniona młodość.

W tym roku wiosenny powiew, płynący z odległych lasów i łąk musiał być zapewne szczególnie mocnym, bo pan Jan poczuł się odurzonym i zaczął miewać zawroty głowy.

Nogi przestały nagle słuchać jego rozkazów, a przytem wszystkiem pewnego ranka zjawił się katar i kaszel. Chodzenie po schodach stało się z początku wielkim wysiłkiem, a wkrótce później — niemożliwością.

I pewnego dnia pan Jan nie wyszedł wcale poza próg pokoju. Siedział tylko w otwartem oknie i łowił uchem echo gwaru i hałasu. dobiegającego z ulic miasta. Ten gwar i hałas, te wszystkie szmery i dźwięki były oznaką życia i ruchu wielu, bardzo wielu ludzi. Tych ludzi, dla których z dalekich krain przyszła wiosna.

I pan Jan zorjentował się, że w tym roku wiosna przyszła już — nie dla niego.

Zamknął okno, usiadł w fotelu i zamyślił się. Popołudniu bawił się jak zwykle z Halunią, która przychodziła codziennie, czasem przynosząc lalkę, a czasem zwierzając się „dziadziowi" z powagą:

— Córuchna zjadła obiadek i położyłam ją teraz spać. Lulu.

Staruszek głaskał serdecznie jasną główkę dziewczynki, uśmiechając się więcej do siebie, niż do niej.

Ale razu pewnego Halunia nie przyszła. Od dozorcy domu, który nosił emerytowi jedzenie z pobliskiej restauracji, dowiedział się pan Jan, że malutka jest chora. Nic wielkiego. Zwykłe przeziębienie, które pewnie przejdzie. Odwiedzać nie wolno, pan doktór zabronił.

Gdy Piotr wyszedł, pan Jan przypomniał sobie, że przeżył raz takie „zwykłe przeziębienie", które jednak nie przeszło i zabrało dziecko...

Pan Jan uczynił to, co mu jedynie pozostało do zrobienia: Zamknął w sercu resztkę swych pragnień na klucz i — czekał.

Mijały godziny, dnie, noce, tygodnie i słońce paliło coraz mocniej, a pan Jan stawał się coraz słabszym.

Przyszedł taki poranek, który szepnął starcowi do ucha: Byłoby ci zbyt przykro przekonać się, że już nie możesz chodzić. Usłuchaj mnie i pozostań w łóżku. Usłuchał. — I wciąż, bezsennie, bez tchu i bez skargi — czekał.

Nareszcie Halunia przyszła. Bladziutka, mizerna i osłabiona influenzą, ale uśmiechnięta jak dawniej.

Opowiadała mu wszystko, co mogła opowiedzieć o swych cierpieniach. O lekarstwach, o doktorze, o bólu gardła, o kleiku...

Pan Jan słuchał jej słów, oddychał niemi i składał je jedno po drugiem na dnie duszy. Kiedy temat został już zupełnie wyczerpany, dziewczynka na chwilę umilkła, poczem z powracającą energją młodego życia wykrzyknęła entuzjastycznie:

— A teraz, dziadziu, w „chorego kotka"! Dobrze?

I zabawa rozpoczęła się jak dawniej. Nawet z pewnem udogodnieniem, bo chory kotek nie potrzebował tracić czasu na układanie się w łóżku, ponieważ leżał w niem już od kilku dni.

— Zaczynaj dziadziu! — rozkazała Halusia, nakładając okulary.

Pan Jan głosem łamiącym się i cichnącym zwolna rozpoczął:

— Pan kotek był chory... i leżał... w łóżeczku...

Halunia basem podjęła swą replikę: I przyszedł kot doktór — „jak się masz koteczku !"

— — — — — — — — —

Za ścianą zegar począł wydzwaniać południe.

Halunia zmieszana trochę brakiem odpowiedzi, porzuciła mimowoli ton groźnego lekarza i swym naturalnym dziecięcym, zaniepokojonym głosikiem spytała powtórnie:

— Jak się masz, koteczku?....

Przez okno dobiegał wciąż przyciszony zgiełk i szum miasta miljona ludzi. Tam wrzało i pędziło naprzód życie. Poprzez dobroć i złość, bogactwo i nędzę, sprawiedliwość i krzywdę. poprzez grzmiący śmiech i w kajdany okutą rozpacz — wciąż naprzód, ku Przeznaczeniu.

— — — — — —

Halunia stała chwilę nasłuchując, wreszcie twarz jej rozjaśniła się.

— Dziadzio pewnie zasnął — szepnęła — ale jak się obudzi, to się będziemy znowu bawić razem!

I cicho usiadła w fotelu pod oknem, z którego buchały wprost na nią nieprzebrane, gorące fale słońca.

W dziecięcej swej ufności Halunia nie przeczuwała, że w tym pokoju od kilku chwil — jest już tylko — sama jedna...

—o—

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Od lewej: Dobroczynne znaczki austrjackie (1, 2) z dyliżansem pocztowym i podobizną admirała Tegetthoffa, oraz znaczek francuski z reprodukcją jednej z figur zdobiących katedrę w Reims.

O znaczkach dobroczynnych.

Pragnęlibyśmy aby czasem i nie-filateliśc. „zaglądnęli" do naszego kącika i omawiając sprawę znaczków „dobroczynnych" mamy doskonałą okazję do zareprodukowania szeregu wspaniałych egzemplarzy — wabiących poprostu wzrok.

Namiętność filatelisty wyrasta może nietylko na tem podłożu, ale uważam, że ktoś kto lubi rzeczy piękne i artystycznie wykonane musi uznać, że kolekcjonowanie znaczków przynosi ze sobą szereg niezmiernie miłych dla oka wrażeń. Na małym skraweczku papieru widzimy najpiękniejsze minjatury osób lub krajobrazów, fragmentów dzieł sztuki — a conajważniejsze są one wykonane wysokowartościowym drukiem wklęsłym oddającym nawet drobne szczegóły zupełnie dokładnie.

Trzeba tylko umieć i chcieć patrzeć krytycznie na to co wydaje się napozór dziecinną zabawką: oto admirał Tegetthoff z serji „wodzów" reprodukowanych na znaczkach austrjackich. Czy zwycięzca z pod Lissy (1827—1871) nie jest oddany na tej marce w sposób prawdziwie artystyczne! czy minjatura dyliżansu pocztowego na innym znaczku austrjackim wydanym z okazji wystawy w 1933 nie pokazuje nam ciekawej sceny z obyczajów przeszłości czy czworoblok znaczków niemieckich nie jest odzwierciedleniem prądów artystycznych III Rzeszy przez które przebija motyw swastyki i pragnienie zagarnięcia Gdańska (znaczek za 3 fen.)? Czy nie śliczny jest znaczek francuski, na którym reprodukowano postać z katedry w Reims? Nie starczyłoby całego numeru Asa, gdybym chciał pokazać czytelnikom krajobrazy szwajcarskie, motywy kwiatów holenderskich, momenty z historji Italji lub dzieła mistrzów renesansu, postacie świętych lub bohaterów, albo znowu ciekawe wydarzenie z dziedziny techniki lub odkryć i sportu.

W Austrji, Belgji, Niemczech, Hiszpanji, wychodzi stale mnóstwo marek o bardzo wysokich dopłatach i niewiadomo „quo titulo" mamy wspierać „Caisse d'Amortissement", „Nothilfe", czy austrjacki fundusz olimpijski.

Sporządzenie nowych klisz co roku opłaca się doskonale, bo istnieje kilkadziesiąt tysięcy zbieraczy uznających tylko egzemplarze niestemplowane, a jeżeli już filateliści mają dawać coś na cele dobroczynne niech będzie, to jakiś cel zbiorowy i niech każde państwo wydaje jedynie po 4 najpospolitsze wartości jak Holandja i Szwajcarja.

NASZA NOWA ANKIETA

KOGO NAZYWAM 100%owym MĘŻCZYZNĄ?

Ileż to razy używamy w potocznej mowie określenia: „stuprocentowy mężczyzna“? Ale czy zastanawiamy się, kiedy nad tem dość dziwacznem pojęciem? Czy potrafimy wyjaśnić, co przez takiego „stuprocentowca“ rozumiemy? Czy ma nim być spokojny, zrównoważony dżentelmen, czy też zazdrosny i silny brutal? Czy ma mieć twarz dobrze ogolonego światowca, czy zwichrzoną brodę i wąsy, znamionujące męską siłę?

I czy wogóle istnieje taki 100-procentowy mężczyzna? A jeśli istnieje w fantazji, to czy znajdziemy go i w życiu codziennem?

Oto długi szereg pytań, na które pragnęłyby usłyszeć odpowiedź zapewne nietylko nasze Czytelniczki, ale i owa brzydsza połowa rodu ludzkiego, tak bezlitośnie i gruntownie obliczana... na procenty!



Znana autorka p. Wanda Melcer z swoim ulubieńcem.

I. Powieściopisarka: Wanda Melcer.

Z pytaniem naszej nowej ankiety zwracamy się przedewszystkiem do znanej powieściopisarki pani Wandy Melcer. Spodziewamy się, iż jako kobieta, pracująca na polu literatury, obserwująca ludzi, ich typy i psychologję, podzieli się z naszymi Czytelnikami ciekawemi spostrzeżeniami z tej dziedziny.

Pani Wanda Melcer udziela wywiadu bardzo chętnie, prowadząc rozmowę w miły i uprzejmy sposób.

— Czy nie zechciałaby pani wyjaśnić przedewszystkiem — zaczynam — skąd wogóle wzięło się to tak popularne powiedzenie „stuprocentowy mężczyzna“?

— Teorję — mówi powieściopisarka — dzielącą cechy ludzkie na męskie i kobiece i głoszącą, że w mężczyźnie odnaleźć można pewien procent cech kobiecych i przeciwnie, w kobiecie cech męskich, wygłosił, jak wiadomo, filozof niemiecki Otto Weininger, autor głośnego w swoim czasie dzieła pod tytułem: „Płeć i charakter“. Muszę jednak zaznaczyć, iż jest to już teorja przestarzała; wyparły ją inne, nowsze. Trzeba pamiętać, że Weininger żył przecież z końcem ubiegłego stulecia.

— Jakież są te nowe teorje?

— W każdym razie już nie takie „oprocentowane“. Obliczanie charakteru i cech ludzkich na procenty w nauce się nie ostało. Weininger twierdził, że cechy męskie bądź kobiece są u człowieka wrodzone. Obecnie mamy z tej dziedziny inne prace, n. p. Alfreda Adlera, prof. psychologji lub Freuda, którzy twierdzą, że to, co potocznie nazywamy cechą „kobiecą“, nie jest wrodzone, lecz raczej nabyte wskutek długowiecznego położenia socjalnego kobiety. Oczywiście należy przytem pamiętać, że przez owe cechy „kobiece“ rozumiemy takie, jak uległość, posłuszeństwo, łagodność, brak decyzji. Z nowych teoryj wynika, że wyliczone cechy są poprostu cechami ludzkiemi, nie zaś jakiemiś specjalnemi cechami kobiecemi. Jeśli zatem podobne cechy zaobserwujemy u mężczyzny, nie należy — jak się to czyni popularnie — wytykać złośliwie jego zniewieściałość, obliczając ją w dodatku na procenty, lecz przyczyn stanu rzeczy szukać należy zupełnie gdzieindziej.

— Czem wobec tego tłumaczy pani tak szerokie rozpowszechnienie się określenia „stuprocentowy mężczyzna“? — pytam dalej.

— Wydaje mi się, iż całą winę ponosi kino. Film znalazł poprostu w tem określeniu łatwy sposób reklamy dla swoich gwiazdorów, nie oglądając się na psychologiczną prawdę, idealizując cechy tak zwane męskie jak brutalność, chęć panowania, tworząc z tego ideał „stuprocentowości“. Ludziom to określenie przypadło do gustu — i oto wszystko.

Przechodzę z tematów teoretycznych na bardziej praktyczne. Rzucam następujące pytanie:

— W powieściach pisanych przez panią, czy to w „Świętej kucharce“ czy w „Narzeczonej z Angory“ nie spotkałem nigdy typu mężczyzny, któremu mógłbym nadać miano „stuprocentowca“. Czemu należy to przypisać?

— Przyznam się panu — odpowiada pani Melcer — że ani swych bliźnich, ani bohaterów powieści nie taksuję na owe procenty. Mężczyzna, choćby posiadał częściowo tak zwane kobiece usposobienie, zawsze zostanie mężczyzną. Natomiast dla mnie, jako dla powieściopisarki — zawsze ciekawszym będzie typ mężczyzny bogaty w cechy kobiece, a to przez swą skomplikowaną psychologję. — W mej powieści pod tytułem „Dwie osoby“, która ukaże się w dniach najbliższych, wprowadzam po raz pierwszy postać mężczyzny bardziej — powiedzmy — męskiego. Będzie to działacz polityczny Bayora. To jego „wysokie oprocentowanie“ jest jednak powodem wielu nieprzyjemnych awantur...

— Wynika stąd — wyciągam wniosek — iż mężczyzna zbyt męski nie jest ideałem!

— Ależ oczywiście. Kino spopularyzowało typ t. zw. Cave-Mana czyli tłumacząc dosłownie, poprostu jaskiniowca. I to ma być ideał mężczyzny! — mówi, śmiejąc się pani Melcer — jaskiniowiec z wielką maczugą w łapie. Zamiast takiego „stuprocentowca“ jeśli już zostać przy tem określeniu, raczej odpowiedniem dla wyrobów naszego Monopolu Spirytusowego, — wolę mego stuprocentowego setera...

— ??...

— Mój czworonożny, wierny przyjaciel— wyjaśnia rozmówczyni, wskazując na pięknego, rasowego psa. — Jego wysokie oprocentowanie mniej jest obciążające dla mojej swobody...

II. Kompozytorka: Wanda Vorbond-Dąbrowska.

Pani Wanda Vorbond-Dąbrowska jest przedstawicielką muzyki lekkiej. Jest pia-



P. Hanka Batorska przy pracy w gabinecie kosmetycznym.

nistką i komzytorką oraz twórczynią pierwszego chóru damskich rewellersów p. n. „Te — 4". Zespół Wandy Vorbond znany jest w stolicy z wielu występów i ma wśród publiczności szerokie rzesze wielbicieli. Nastrojowe piosenki, tanga oraz wesołe foxy Wandy Vorbond cieszą się wielką popularnością.

Rozmowa z sympatyczną panią Wandą, kobietą o żywem, wesołem usposobieniu jest krótka, ale „treściwa".

— Co myśli pani o tak zwanym „stuprocentowym" mężczyźnie?

— „Stuprocentowy" mężczyzna — wyjaśnia kompozytorka — jest poprostu nieciekawy. Jest zbyt zaborczy. Daleko wyżej cenię subtelność, cechę jak pan wie, rzadko spotykaną wśród mężczyzn.

— Więc, krótko mówiąc, mężczyznę da się podzielić na procenty? — zapytuję.

— Ależ oczywiście! Ma on procenty dodatnie i ujemne. Dla mnie będą u mężczyzny najmilsze te procenty, których ja nie mam. Nie wątpię, że jak w każdej kobiecie tkwi we mnie pewien procent męskości. Nazwijmy ten procent x. Formułka na ideał mężczyzny będzie zatem brzmieć:

100% minus X.

— Trochę to brzmi tajemniczo — żartuję.

— A czyż całe życie nasze nie jest tajemnicą? Jak w każdym człowieku, zapewne i we mnie walczą ze sobą procenty męskie i kobiece. Zależnie od wyników walki przychodzi taki lub inny nastrój. Odczuwam to bardzo w swej pracy. Gdy nastrój jest smutny, komponuję piosenki ponure, gdy wesoły — wesołe.

— Kiedyż przychodzi ów najlepszy nastrój?

Pani Wanda odpowiada z uśmiechem:

— Oczywiście, gdy do walki wewnętrznej dołączą się .męskie procenty... z zewnątrz!

— Nie chcę być niedyskretnym — pytam natarczywie — ale czy mogłaby pani wskazać kogoś, kto dla pani byłby przykładem „stuprocentowego mężczyzny"?

Z oczu pani Wandy widzę, że na to pytanie pragnie mi odpowiedzieć wesołym figlem. Namyśla się chwilę, poczem mówi:



Znana pianistka i kompozytorka p. Wanda Vorbond-Dąbrowska.

— Owszem. Adam...

— Adam??? A który?

— Ten pierwszy...

III. Manicurzystka: Hanka Batorska.

P. Haneczka Batorska jest manicurzystką. Zawód swój, choć ma on mimo pozorów — więcej cieni niż blasków, bardzo lubi, poświęcając mu się z całem zamiłowaniem.

Dlaczego spośród tysiąca warszawskich manicurzystek wybraliśmy panią Hankę? Pani Hanka zaczęła swą zawodową karjerę w drugorzędnym zakładzie fryzjerskim i dzięki swej solidnej pracy i obowiązkowości, dostała się wreszcie do instytucji pierwszorzędnej, której stałymi gośćmi były osoby z najwyższego high-life'u warszawskiego. Pani Hanka pamięta i swych pierwszych klientów z głębokiego Powiśla i tych ostatnich, wśród których nie zabrakło wielu dygnitarzy i dyplomatów. Oczywiście wszelkie szczegóły co do osób i nazwisk pozostają dobrze strzeżoną tajemnicą „zawodową" pani Hanki.

— Jak zachowują się w czasie wykonywania manicure mężczyźni? Czy na podstawie obserwacyj czynionych podczas swej pracy może pani określić, który z mężczyzn zasługuje na miano „stuprocentowego"?

Pani Hanka sięga pamięcią do wspomnień i opowiada.

— I tak i nie. Czasem wystarczy spojrzeć na rękę i dowiedzieć się, jakiego manicur'u mężczyzna sobie życzy, aby wyrobić sobie o nim zdanie. Przychodzi naprzykład pan w pięknym garniturze i zabójczym krawacie, mówiąc: „Dziś idę na bridża, manicure musi być wykwintny. Paznokcie proszę polakierować, zrobić obwódki, pod paznokcie podkładki z białej kredki. Doskonale wypolerować".

— Czyżby istotnie istnieli mężczyźni z takiemi wymaganiami?

— Ależ naturalnie! Pan o tem nie wie? Tylko, że taki mężczyzna — nie jest chyba mężczyzną!

— Któż dla pani będzie przeciwieństwem takiego... brydżysty?

— Powiedzmy mężczyzna, który wydaje dyspozycje: „Wyczyścić, wyrównać i nic więcej". Takiemu chodzi tylko o to, by ręka była starannie i czysto utrzymana. To, mojem zdaniem, jest bardziej męskie.

— A jeśli chodzi o zachowanie się pani klientów?

Pani Hanka śmieje się pobłażliwie.

— Nie powiem, aby było poprawne. Z reguły co drugi mężczyzna, przychodzący na manicure, proponuje manicurzystce kino i flirt. Miałam klienta, który chciał np., bym w czasie manicure rękę jego trzymała nie na stoliku, lecz na swojem kolanie. Sądził zapewne, iż tak należy postąpić „stuprocentowemu" mężczyźnie. Potem, gdy się okazało, że... nic z tego nie będzie, złamał ze wściekłości mój pilnik! To też miało niby oznaczać jego „stuprocentowość".

— Jedno jest pewne — mówi dalej pani Hanka — iż na punkcie swej męskości czy „stuprocentowości", mężczyźni są niezwykle zarozumiali. Jeśli ta czy inna manicurzystka ma w ciągu dnia dwudziestu klientów, z których dziesięciu zaproponuje jej kino, każdy z nich uważa, że jemu właśnie powinno się nie odmówić, a pozostałych dziewięciu zbyć lekceważeniem. Od takich mężczyzn stokroć bardziej wolę już dżentelmena, który w czasie manicure'u poprostu czyta gazetę, poczem w sposób uprzejmy powie zwykłe „dziękuję".

Romit.

W STOLICY WĘGIER...

Dziewczęta z komitatu Tolna na tle gmachu parlamentu w Budapeszcie





Pocztmistrze ARCYWAŻNI

W gospodzie obok której znajdowała się poczta na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie, siedział pan szambelanic Nałęcz i z zaciekawieniem studjował małą książeczkę p. t. „Etrennes Mignonnes Curieuses et Utiles Pour L'Annee mil sept cent soixante neuf" wydaną w Warszawie u p. Michała Grölla, księgarza królewskiego. Były tam podane wszystkie rzeczy, które należało wiedzieć, a więc spis domów panujących, senatorów Rzeczypospolitej, ministrów, kawalerów Orła Białego, urzędników sądowych, oficjerów, a następnie zbiór ustaw wydanych na ostatnim sejmie w 1767 r. Pana szambelanica Nałęcza najwięcej jednak w danej chwili interesowała rubryka „Cours des Postes", gdyż wybierał się właśnie zagranicę, a że papa szambelan był z synem nieco na bakier i nie chciał mu użyczyć odpowiedniej sumy na ekspensa, szambelanic zmuszony był jechać pocztą ordynaryjną. Co za ruch panował na stacji pocztowej! Zajeżdżały karety, bryczki, to znów kucza pocztowa, która po przeprzągnięciu koni i pokrzepieniu pocztyliona w dalszą miała ruszyć drogę.

Z zainteresowaniem szambelanic wgłębiał się w arkana podróży: z Warszawy biegło dwanaście zasadniczych traktów na wszystkie strony państwa. A więc z Warszawy do Krakowa, druga do Gdańska otwarta dopiero 28 stycznia 1765 r., dalsza do Kamieńca Podolskiego prowadząca przez Lwów, Złoczów, Trembowlę i jeszcze inna do Mitawy, która znowu biegła przez Białystok, Grodno, Kowno, Kiejdany, od 7 stycznia 1765 r. znów otwarta została droga z Warszawy do Poznania przez Sochaczew, Słupcę, Września i Kostrzyń. — Ileż traktów, ile dróg wiodących w daleki świat! — myślał pan szambelanic. Całe szczęście, że miał ze sobą niewielki tylko bagaż, bo słonoby go to kosztowało i kłopotu z tem dużo. Młody człowiek popadał chwilami w zadumę, gdyż daleka podróż, jechał bowiem prosto do Paryża przez Drezno i Strassburg, napawała go pewnemi obawami. Miał też wstąpić do Lunevillu, gdzie mieszkało sporo rodaków przy dworze króla Stanisława I, zwanego „Stanislas le Bienfaiteur" i oddać im listy polecające, które otrzymał od łaskawego na dom Nałęczów koligata kasztelana dobrzyńskiego, Ignacego Zboińskiego.

Zanim przyjedzie postkucza, która weźmie w daleką podróż pana szambelanica, przyjrzyjmy się sposobom podróżowania w tych czasach. Komunikacja pocztowa przechodziła długie etapy rozwoju zanim stała się urządzeniem, dostępnem dla ogółu. W najdawniejszych czasach, począwszy od Karola Wielkiego, monarchowie utrzymywali swoich kurjerów, którzy przewozili do ważniejszych ośrodków życia państwowego rozkazy ich, i oni to stanowią prawzór późniejszych poczt. Samo słowo poczta (poste) użył po raz pierwszy słynny podróżnik Marco Polo w swoim opisie podróży (1298), wzmiankując o kurjerach państwowych w Chinach. Ludwik XI, król francuski, powołuje w roku 1464 do życia służbę pocztową „chevaucheurs en poste". Jeden z jego następców, Ludwik XIII, wydzierżawia poczty za 1,200.000 liwrów, większość państw wydzierżawiały pocztę przedsiębiorstwom prywatnym, pozostawiając w swoim zarządzie jedynie urzędową komunikację kurjerską, odpowiadającą mniejwięcej obecnym kurjerom dyplomatycznym. W zakresie poczt historyczną kartę zapisała włoska rodzina Thurn-Taxis. Franciszek Taxis zawarł z Filipem Pięknym w r. 1504 umowę, mocą której powstała stała komunikacja między Niderlandami, dworem madryckim i dworem wiedeńskim. Dopiero jednak Jan Taxis, noszący tytuł „chief maître géneral de noz postes par tous noz royaumes, pays et seigneuries" tworzy stałe połączenie na szlakach Bruksela—Wiedeń—Włochy, Norymberga—Frankfurt. Powoli rodzina Thurn Taxisów zyskuje w całem cesarstwie niemieckiem monopol pocztowy i wyjątkowe stanowisko w Rzeszy. Stara ta rodzina, pochodząca z okolic Bergamo, z której wyszedł słynny poeta Torkwato Tasso, otrzymuje w r. 1615 godność dziedzicznych wielkich pocztmistrzów Sancti Romani Imperii, poczem terytorja Friedberg-Scheer zostają podniesione 1787 r. do rangi hrabstwa a oni sami wchodzą w skład rady książąt cesarstwa. W ten sposób system feudalny ,oddający rodzinom pewne funkcje dziedzicznie, utrzymuje się również w zakresie poczt, istniejąc aż do r. 1867, kiedy to Prusy, przewodniczące w niemieckim Związku państw, wykupują od książąt von Thurn und Taxis prawa prowadzenia poczt w 19 częściach Rzeszy za kwotę trzech miljonów talarów. Już poprzednio dom Taxisów stracił przez pokój zawarty w r. 1801 w Luneville szereg posiadłości na lewym brzegu



Listonosze z czasów napoleońskich, zapomocą gongu dawali znać o sobie publiczności, która oddając listy opłacała równocześnie należność.



Angielski dyliżans pocztowy z pierwszych 30-tu lat ubiegłego wieku.



Na lewo: Do dziś dnia istnieją w niektórych okolicach Bawarji i Anglji poczty konne. Oto dyliżans pocztowy na saniach, kursujący do miasteczka bawarskiego Immenstadt.

Renu, otrzymując od Rzeszy odszkodowanie w postaci księstwa Buchau.

Dola i niedola dziedzicznych pocztmistrzów Cesarstwa odbiła się dziwnem zrządzeniem losów również na Wielkopolsce, pozostającej pod pruskiem berłem. Taxisowie otrzymują w r. 1819 dobra krotoszyńskie jado księstwo od Prus.

Na odcinku organizacji poczt, Polska bynajmniej nie ustępowała zagranicy. Wielki organizator, król Stefan Batory, nadaje dyplomem, datowanym z Niepołomic 29 stycznia 1583 r. przywilej na prowadzenie zorganizowanych za króla Zygmunta Augusta poczt na korzyść szlachcica florenckiego Sebastjana Montelupiego de Mari i jego bratanka Walerego. Dyplom królewski wyraża się, że „...wszystkie poczty, które oni swoim kosztem utrzymywać będą na wszystkich traktach onym oddajemy pod tym warunkiem, że oni na trakcie z Krakowa do Wenecji w miejscach ku temu przyzwoitych tyle koni utrzymywać będą, aby gońcy pocztowi z Krakowa do Wenecji i z Wenecji do Krakowa jeżdżący tam i nazad w przeciągu piętnastu dni podróż swoją odbywali". — A dalej czytamy: „Pocztarze, którzy za sług naszych poczytani być mają, cyfry nasze i herby na sukniach nosić będą. Gdybyśmy zaś z dworem naszym z Krakowa do innego przenieść się mieli miasta, obowiązują się wyżej wymienieni Sebastjan Montelupi i jego synowiec listy i wszystkie pocztą przychodzące przedmioty swoim kosztem do Warszawy jaknajśpieszniej przesyłać". Pensja wyznaczona przez króla obu Florentczykom wynosiła tysiąc złotych polskich kwartalnie. Ciekawe jest, że za list prywatny płacono wtedy cztery grosze polskie bez względu na odległość miejsca przeznaczenia, przyczem dyplom królewski zwalniał od wszelkich opłat zakony księży Franciszkanów, Bernardynów, Dominikanów, Augustynów i Karmelitów, prowadzących z zagranicą dużą korespondencję. Montelupiowie byli znaną rodziną krakowską i posiadają w Krakowie piękne nagrobki w kościele Panny Marji.

Znacznie szczegółowiej określano należności pocztowe naprzykład za Stanisława Augusta. Wysoce modne kalendarzyki polityczne wydawane w Warszawie i Wilnie zawierają zwykle dokładną tabelę opłat, które wynosiły naprzykład w granicach Rzeczypospolitej łącznie z Kurlandją od jednego do sześciu łutów 12 groszy za łut, od siedmiu do szesnastu łutów 8 groszy za łut, od siedemnastu do dwudziestu czterech łutów 6 groszy za łut. Drożej oczywiście opłacano listy wysyłane naprzykład do Francji, Lotaryngji, Hiszpanji, Portugalji, Szwecji i Danji — od jednego do sześciu łutów płacono za łut aż 5 florenów. Do Holandji płacono od jednego do sześciu łutów 3 floreny i 15 groszy za łut, do Cesarstwa, Saksonji, Westfalji, Włoch, Szwajcarji, do Rygi i Rosji od jednego łuta do sześciu — 2 floreny i 15 groszy za łut itd. Istniały wtedy również te same przepisy co i dzisiaj, a więc znane były listy „rekomendowane", za pieniądze zawarte w listach poczta nie odpowiadała, druki płaciły tylko połowę opłat, natomiast gazety opłacano tak jak listy. Wszelkie przesyłki trzeba było oddać na pocztę godzinę przed odjazdem poczty, rekomendowane na dwie godziny przedtem. Wysłanie sztafety tj. specjalnego gońca, którego możnaby porównać z dzisiejszym listem „express", opłacano dwa floreny od mili i sześć florenów opłat ogólnych. Za rządów pruskich tj. od 1796 r. wprowadzono ekstra-poczty i kurjerów, za Księstwa zaś Warszawskiego 1808 r., dyliżanse.

Pocztyljon polski z czasów Królestwa Kongresowego.





Wspaniałe nagrobki rodziny Montelupich de Mari w kościele Panny Marji w Krakowie.



Znaczki pocztowe wydawane przez ks. von Thurn und Taxis.

Mimo to, że można było w XVIII w. zupełnie wygodnie podróżować pocztami po Europie, większość ludzi zamożnych jechała wtedy własną karetą w otoczeniu licznej służby, ba! niektórzy, jak n. p. gen. ziem polskich ks. Adam Czartoryski wyjechał ze swą małżonką Izabellą z Flemmingów w podróż poślubną w kilkadziesiąt karet i wozów, prowadząc ze sobą również kilka wielbłądów! Paryżanie, zarówno gawiedź uliczna, jak też towarzystwo, otwierało usta ze zdziwienia i nie mogło się napatrzyć tego widoku!

W r. 1936 w poczekalni na lotnisku warszawskiem siedział prawnuk imć pana szambelanica Nałęcza i palił nerwowo papierosa, gdyż o godzinie punkt 12-tej miał randkę w Krakowie i bał się, że przyleciawszy do Krakowa nie będzie miał czasu „rozgarnąć się" w hotelu. Droga Warszawa—Kraków trwa półtorej godziny, a już ludzie narzekają! Co za zmiany, co za rozpiętość przestrzeni. Do czego to jeszcze dojdzie?

Mówią, że komunikacja zbliża lądy i ludzi. Jest to omyłka: ani śmigło samolotu, ani koło dyliżansu czy auta nie zdołały tego uczynić — może to jedynie duch ludzki, nie kierujący się żadną marszrutą, bo niespotykający żadnych przeszkód.

Jan Maleszewski.

Na prawo: Krakowskie Przedmieście w Warszawie, na którem mieściła się stara poczta. Obraz Canaletta.



100 HP *Pięknej Pani*





W podróży samochodem mapa staje się nieraz jedynym drogowskazem...

SPECJALNY SERWIS FOTOGRAFICZNY MAGAZYNU »AS«

Poniżej: Policjant paryski — to uprzejmy cicerone pięknej pani...





W drodze przez Algier...



Na lewo: Pierwsza wiosenna wycieczka...

Są kobiety, które nie wyobrażają sobie życia bez ukochanego mężczyzny. Są takie, dla których istnieją tylko klejnoty i stroje. Inne znów dążą do sławy Sary Bernhardt, czy Józefiny Baker i poza nią świata nie widzą.

Są sportmenki, zdobywające laury na bieżniach, basenach i kortach tenisowych. Są ale i kobiety, których nazwiska zdobią karty głośnych dzieł naukowych...

Wszystkie one, jeśli nie wyrzekły się życia wśród ludzi, do których uśmiecha się lepsze jutro, którzy wierzą, że na drodze swego życia znajdą szczęście — marzą o dobrobycie i jego ponętnych formach. Jedną z nich jest niewątpliwie samochód, który każdemu z nas przynosi radość życia, poczucie nadzwyczajnej swobody, wielkiej wygody, a dla pięknej kobiety jest zawsze najodpowiedniejszą oprawą.

Dlatego każda piękna pani, gdy nadejdą słoneczne dni wiosny, tęskni do safjanowych poduszek „Hispano-Suizy", lub potężnego „Mercedesa", na których prześni może najpiękniejszy flirt swego życia.

Pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu...

Na prawo: Nad brzegiem Wannsee pod Berlinem...



Ale nietylko maszyny, o gigantycznych motorach umożliwiają nam wydostanie się poza nawias szarzyzny miejskiego życia. Mały, zwinny samochodzik, o niewielkim litrażu, łatwo powiezie nas wszędzie tam, gdzie natura pulsuje pełnym rytmem, stwarzając dzieła, godne obejrzenia.

Wspaniałe krajobrazy, zmieniające się jak w kalejdoskopie podczas automobilowej podróży, kontrastują z niezwykłą architekturą miast, które mijamy w pędzie, dążąc do wytkniętego celu naszej wycieczki. Jest nim najczęściej jakiś uroczy zakątek wybrzeża morskiego, które na Południu tętni już pełnią życia plażowego. I tam poddajemy się radosnemu nastrojowi tych chwil, które udało nam się skraść szarzyźnie naszego codziennego kołowrotka, pełnego dziś trosk i zmartwień.

Bo piękne jest życie, gdy się ma samochód...

J. L.

NASZ KONKURS WIELKANOCNY



Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska — Toruń.



H. Kurowska — Włocławek.



„J. W." — Gostyń.



„R. D." — Radomsko.

Nasz konkurs na najpiękniej zastawiony stół wielkanocny zamykamy z dniem dzisiejszym. Zdjęcia, nadesłane do 3 b. m., będą zamieszczone w Magazynie „As" i wezmą udział w rozgrywce o piękne nagrody, o których podziale zadecyduje jury redakcyjne. Poniżej zamieszczamy zapowiedziane w poprzednim numerze fotografje nagród, ofiarowanych przez firmy krakowskie.



Powyżej: Serwis do kawy z kremowej porcelany. — Nagroda fabryki porcelany i wyrobów ceramicznych „Ćmielów" S. A. (w Polsce porcelanę kremową produkuje jedynie „Ćmielów".



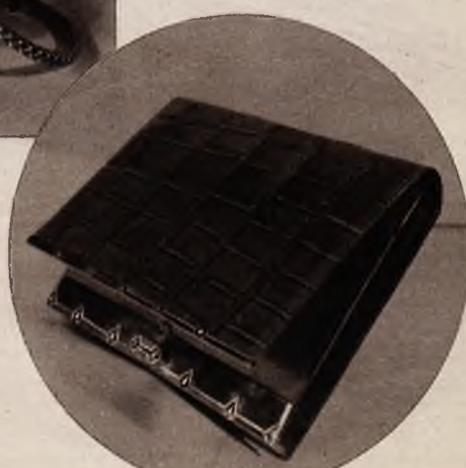
Powyżej: Bombonierа z cukrami. — Nagroda fabryki czekolady A. Piasecki w Krakowie.



Powyżej: Komplet kosmetyków. — Nagroda firmy „Miracnlum" w Krakowie.



Powyżej: Gazowe żelazko do prasowania. — Nagroda Gazowni Miejskiej w Krakowie.



Na prawo w kole: Torebka z krokodyla. — Nagroda Firmy: Anastazy Froncz. — Kraków.

WYSTAWA polskiego ZABYTKÓW rękodzieła



Tabliczka cechowa bednarzy w otoczeniu dwóch młoteczków cechu szewców, r. 1671.

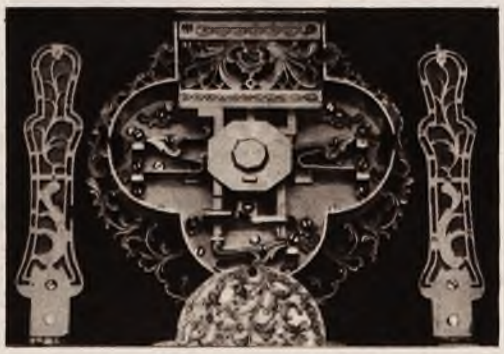
W ramach uroczystości, związanych z odsłonięciem pomnika Jana Kilińskiego oraz z ogólnopolskim Kongresem Rzemiosła w Warszawie, zorganizowano tu również wystawę zabytków i pamiątek cechów warszawskich, ze szczególnem uwzględnieniem tych, które się łączą z osobą bohatera.

Liczne objekty, z wielkim pietyzmem zgromadzone na wystawie w Resursie Obywatelskiej, wskrzesiły zamierzchłe dzieje, bujnego ongiś życia organizacyj cechowych, przemawiając do widza obrazem skończonego artyzmu, którym przepojone jest każde nieomal dzieło rąk tych ludzi, którzy przechodzili specjalną długą szkołę rzemieślniczą, zanim stali się członkami organizacyj cechowych. Zabytki cechów świadczą dobitnie, iż rzemiosło było wówczas sztuką, a trudnienie się niem przez ludzi niewykwalifikowanych nie było dozwolone. Ci ostatni, nazywani pogardliwie fuszerami i szturarzami, mogli istnieć jedynie poza cechem, przez który byli bardzo źle widziani.

Do niezwykle cennych zabytków, zgromadzonych na wystawie, należą tabliczki cechowe, które posiadał każdy cech bez wyjątku. Za pośrednictwem takiej tabliczki, z drzewa, lub metalu, zwanej „cechą", zwoływano wspólne zebrania. Forma tych tabliczek jest w ogólnym rysunku jednakowa, — kształtu zbliżonego do kartusza herbowego. Jedną stronę wypełnia zawsze znak cechu, więc np. u kowali — podkowa, obcęgi, młotki, gwoździe, u zdunów — tygielek i kowadło, u bednarzy — beczka, cyrkle i t. d. Brzegi tej strony ozdobione bywają ornamentem geometryczno-liściastym, lub główkami aniołków, jak np. cecha kowali z 1703 r., często też znajduje się data ufundowania „cechy". Również odwrotna strona jest bogato pomyślana — zdobi ją zawsze rysunek jakiś, najczęściej scena Męki Pańskiej, ujęta w piękny ornament liściasto-geometryczno-figuralny. Większość zgromadzonych na wystawie tabliczek pochodzi z wieków 17 i początku 18, więc z czasów rozkwitu rzemiosła i organizacyj cechowych.

Zachwycające są oryginalnie pomyślane puhary, które służyły braci cechowej do wina i miodu. Zwraca szczególną uwagę puhar cechu krawców, pochodzący z 1755 roku. Na pokrywie jego umieszczona jest postać z chorągwią, na której uwidoczniono godło krawieckie — nożyce. Zdobią go ponadto inne jeszcze dodatki dekoracyjne i napisy. Puhar srebrny, należący do cechu blacharskiego, zdobią mistrzowskiej roboty sceny figuralne o charakterze religijno-mitologicznym. Ornament roślinno-geometryczny dopełnia dekoracji tego wysoce pięknego puharu.

Prawie każdy z cechów szczyci się zabytkową szkatułą, w której przechowuje od wieków swoje przywileje królewskie i municypalne. Szkatuły, nazywane ladami, wykonane są z metalu lub drzewa. Te ostatnie są chlubą, powstałego w 17 w., cechu stolarzy. Godna specjalnej uwagi jest lada z 1778 r., cechu ślusarzy, puszkarzy i ostrogarzy, powstałego w 1535 r. Przy skromnym kształcie posiada pełną smaku dekorację, wykonaną sposobem intarsji. Wzorami są fantastyczne smoki. Zamyka ją niezwykle skomplikowany zamek, o trzech kluczach, wykonany artystyczną techniką. Ciekawej roboty ludwisarskiej jest metalowa szkatuła cechu szewców, której wieko od zewnątrz ozdobione jest splecionemi literami S. A. R. (Stanislaus Augustus Rex). Lada zaopatrzona jest z dwóch boków w bardzo bogate „uszy" w formie klamer, które zakładane w celach praktycznych, stanowiły piękną dekorację przedmiotu.



Zamek misternie rzeźbiony z t. zw. lady, w której przechowywano dokumenty cechowe.

Do rzędu równie ciekawych pamiątek należy zaliczyć t. zw. wota, które ofiarowywał każdy nowy „mistrz" swojemu cechowi. Zastępowały one medale pamiątkowe i miały wyryte nazwisko ofiarodawcy oraz datę. W zbiorze cechu krawców zachowane są dwa ciekawe srebrne wota, z których jedno wyobraża Daniela w lwiej jamie i nosi podpis Daniela Dompskiego z datą 1773 roku, drugie zaś wyobraża św. Józefa, a zaopatrzone jest w podpis Józefa Krukiewicza.

Osobny dział stanowią pamiątki-dokumenty cechowe, wśród których oprócz przywilejów municypalnych, ksiąg percept i expensów, znajdują się przywileje królów polskich. Przedewszystkiem zwraca uwagę przywilej cechu szewców z r. 1589, wydany przez Zygmunta III. Jednak bogactwem wykonania przewyższa go księga przywilejów, wydana cechowi jubilerów w 1785 r., z podpisem króla Stanisława Augusta.

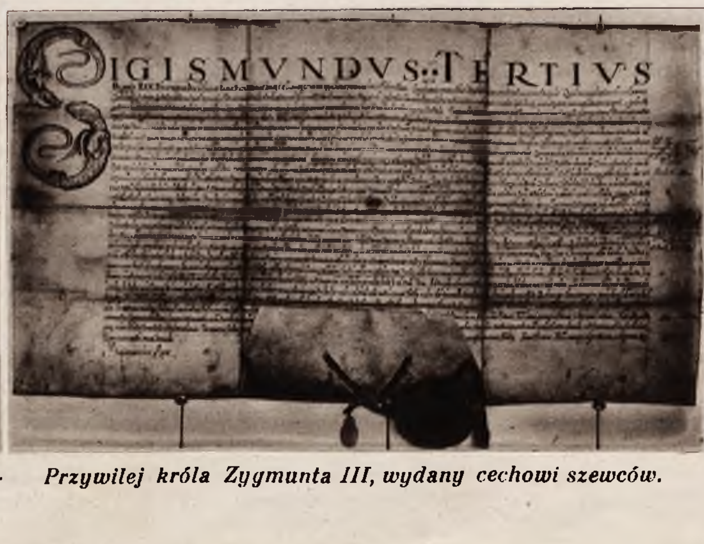
Każdy z cechów szczyci się jakąś bezcenną pamiątką. Cech piernikarzy i cukierników, pełen tradycji (zał. w 1781 r.), udostępnił ogółowi list Tadeusza Kościuszki, pisany dn. 7 czerwca 1794 r. w obozie pod Małogoszczą i wzywający wszystkich członków cechu do obrony zagrożonej Ojczyzny.

Oprócz zabytków cechowych, zgromadzono na wystawie, rozproszone dotąd po różnych zbiorach, pamiątki, związane ściśle z osobą Kilińskiego. M. in. Muzeum Ordynacji Krasińskich użyczyło oryginału pamiętnika Kilińskiego, zaś Szkoła Rzemiosł i Sztuki Stosowanej w Warszawie oryginału jego testamentu, w którym bohaterski szewc składa społeczeństwu rachunek, — „examen", jak się wyraża, ze wszystkich czynności „w obronie swey Oyczyzney".

Michał Szymański.



Tabliczka cechowa z bronzu cechu zdunów, r. 1684.



Przywilej króla Zygmunta III, wydany cechowi szewców.



Puhar cechu krawców z r. 1755.

Fotografje Michał Szymański — Warszawa.



Lucienne Boyer opowiada...

Słynna śpiewaczka paryska, Lucienne Boyer, zgodziła się na udzielenie mi wywiadu i zaprosiła na godzinę szóstą, czyli po przedstawieniu popołudniowem; nie mogłem jednak przewidzieć, jak trudno się dostać za kulisy teatru „ABC". Udało mi się niemniej przesłać wizytówkę i po chwili znalazłem się w ubieralni tej miłej artystki. Dopieroco wróciła ze sceny, a już ćwiczy z akompanjamentem skrzypiec jakąś nową piosenkę...

Na mój widok wybucha śmiechem i przeprasza za „próbę ogniową", jaką przeszedłem u wejścia:

— Ale żeby pan wiedział, jakie to okropne! Nachodzą mnie co dnia, a jak ich widzę, to chciałabym każdemu coś dać, i wtedy przychodzi pod różnemi pretekstami jeszcze więcej osób!

Lucienne Boyer „objawiła" się Paryżowi przed paru laty. Jej popularność wzrosła momentalnie tak, że zdarzało jej się występować w ciągu jednego wieczoru w dwóch, trzech teatrach, poczem spieszyła do własnego kabaretu nocnego, noszącego nazwę „Chez elle", gdzie ledwo znaleźć można było jedno miejsce wolne: dla niej samej... Jej piosenki obiegać zaczęły świat, powtarzane z ust do ust, rozgłaszane przez radjo, przez wszystkie gramofony świata...

Przed dziesięcioma dniami Lucienne Boyer wróciła z tournee po Europie i Ameryce. I ogromne, błękitne afisze zalały Paryż, głosząc nowinę... Błękitne, bo jest to jej ulubiony kolor. Kolor nietylko afisza, ale i strojów, i szminki i kwiatów i dekoracyj sceny, i świateł, rzucanych na popularną Luciennę w chwili jej występu, i kadzideł, jakie pali u siebie w domu, i bodaj cukierków, jakiemi częstuje... Któryś z niedyskretnych krytyków wyraził się, że tylko jeden przedmiot błękitny nie nęcił jej: to... błękitna kalka, którą posługiwała się w biurze, w czasie, gdy zarabiała na życie jako korespondentka...

* * *

Dziś kontakt artystki z publicznością stał się ścisły i serdeczny. A krytycy jednogłośnie zgadzają się, że ta podróż poprzez Stany, Kanadę, Portugalję i t. d. ostatecznie ugruntowała jej opanowanie techniki tak indywidualnej i finezyjnej. Wyczuwa się u niej pewną zmianę, pogłębienie sztuki, zróżniczkowanie, odnowienie.

Lucienne Boyer śpiewa. Każda z jej nowych piosenek powoduje żywy oddźwięk u publiczności. Słyszymy więc „Tango des filles", „Son regard" i cudowną melodję Jean Tranchant „Les prenoms effaces"... — I „Hôtel de Clair de Lune" Rosemonde Gérard... — Wreszcie oryginalną piosenką „Estampe Marocaine": artystka była w niej jakaś inna, nowa, naturalna, choć rola tak egzotyczna. — Lecz publiczność domaga się bisów: „Le petit café du coin", „Je me sens dans tes bras si petite", „Un amour comme le nôtre", „Attendes"... — „Jej" publiczność jest niestrudzona! „Ona" również. Wsłuchuje się w tytuły, wykrzykiwane ze wszystkich pięter teatru, śmiejąc się w pewnej chwili: „et tout, et tout!" (i wszystko, wszystko..). — Wreszcie kończą się i bisy, i kurtyna opada na tę „błękitną symfonję"...

* * *

Teraz siedzimy w jej loży. Podziwiam prostotę tej wielkiej artystki, której charakteru sława nie naruszyła. To, co ze sceny wydawać się może pozą, tu, w garderobie okazuje się tak naturalnem. I odrazu wyczuwam, że będzie to raczej rozmowa, niż wywiad. Przerażona słucha mych pytań... Lecz szybko zaczyna się „bavardage":

...I w Ameryce wytworzył się ten sam kontakt z publicznością, choć tam wymagają więcej ruchu, więcej ekspresji. Ale ryzykowała piosenki bardzo „literackie", i zdobyły one takie same powodzenie, jak w Paryżu.

— ...a poza tem istotnie szukam nowych dróg, nie chcę pozostać w miejscu. Tak bardzo odradzano mi te „Estampe Marocaine", ale uparłam się, i widzę, że wszystkim podobały się właśnie dlatego, bo były zupełnie odmienne! Czy współpracuję w układaniu piosenek?! Ależ tak! Najczęściej jednak dodaję inne zakończenie, niż pomyślał autor; zmieniamy razem tytuł, pozostawiamy ideę, ale ją jakoś pogłębiamy, czy podkreślamy... Zasadniczo staram się obecnie śpiewać tylko piosenki powolne, najwyżej dwie, trzy strofki z refrain'em... Płyta gramofonowa jednak oddaje źle, zwłaszcza te szybsze, i zatraca się timbre i słodycz...

— ...

— Polska? Nigdy nie byłam, ale wybieram się na nowe tournée do Berlina, Warszawy i Moskwy... Czekam tylko na wyjaśnienie się sytuacji politycznej...

Lucienne Boyer mówi z przekonaniem:

— Trzeba wierzyć w swe piosenki, w swych kompozytorów, w siebie, w swą gwiazdę... Trzeba! Talent?... Przedewszystkiem— wierzyć w swą gwiazdę!... A jeśli publiczność dyskutuje, jeśli jednemu podoba się ta piosenka, a innemu nie, to to mnie tylko cieszy, bo dowodzi istotnego zainteresowania...

Moja rozmówczyni gotowa jest do wyjścia. W tej chwili wpada jednak „concierge".

— Proszę pani! Ten łysy, co to wczoraj za panią chodził, znowu czeka u wyjścia!...

Lucienne załamuje ręce: oto cienie sławy i popularności. Mnie przypadnie na zakończenie wywiadu rola rycerska — towarzyszyć pięknej artystce i obronić przed „tym łysym", który koniecznie chce powiedzieć jej osobiście, jak bardzo ją kocha i podziwia jej śpiew... Tłum oczekuje u wyjścia artystów, i jeszcze na ulicy oklaskuje wychodzącą gwiazdę...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

„PREMJOWANA PIĘKNOŚĆ".
Pierwsza nagroda na międzynarodowej wystawie w Londynie. (Wiener Photo-Karier).



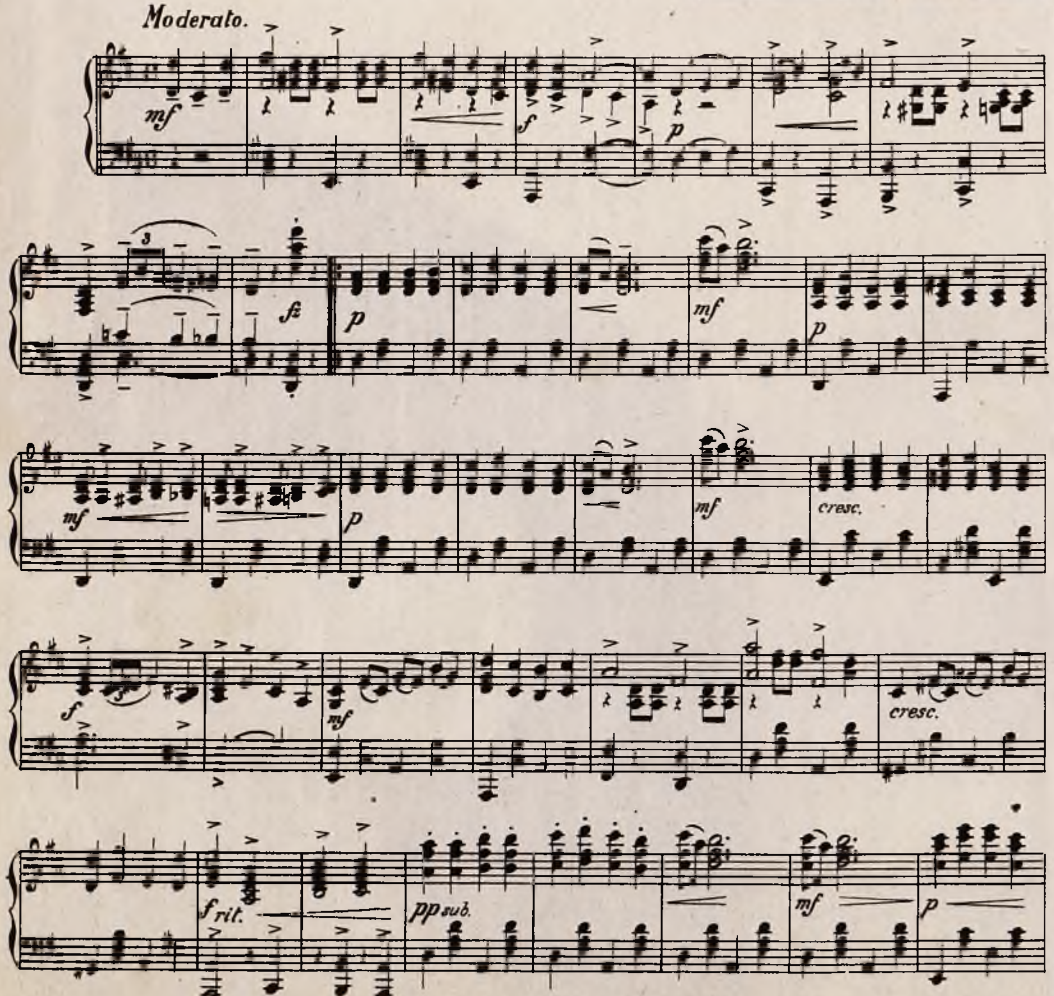
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

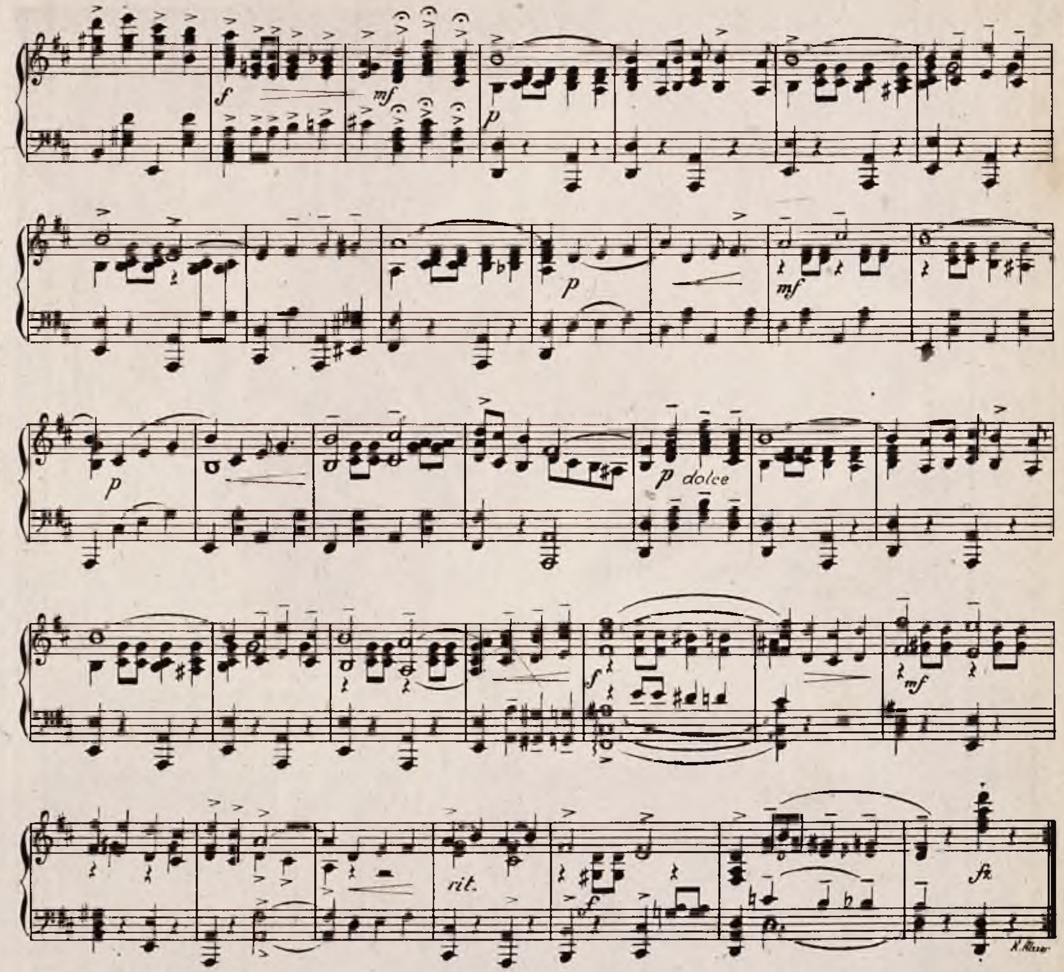
ODROBINA RÓŻU i KROPLA PERFUM...

SLOWFOX Z OPERETKI WIEDEŃSKIEJ „LIEBESKUTSCHE"

Muzyka Ludo Philippa







W dziale muzycznym niniejszego numeru „Asa" zamieszczamy slowfoxa: „Odrobina różu — kropla perfum...", który wyszedł z pod pióra utalentowanego kompozytora p. Ludo Philippa.

Z pochodzenia Lwowianin, rozpoczął p. Philipp swe studja muzyczne u prof. Steinmetzówny, poczem jeszcze w r. 1913 przeniósł się na stały pobyt do Wiednia, gdzie uczęszczał do klasy słynnego Schrekera. Dalsze studja odbywał na Akademji Muzycznej w Berlinie, gdzie też powstały pierwsze kompozycje o charakterze poważnym, a wśród nich opera „Ewelinda". Ultramodernistyczna harmonizacja i zbyt może śmiałe operowanie instrumentami w orkiestracji sprawiły, że ta opera, podobnie, jak „Jonny spielt auf" Kreneka, spotkała się z ostrą krytyką i nie zdobyła popularności.

Te niepowodzenia skłaniają Philippa do przerzucenia się w dziedzinę muzyki tanecznej i operetkowej, na którem to polu zdobywa on szybko rozgłos, przedewszystkiem we Wiedniu. Mając do dyspozycji świetnych librecistów, pisze w r. 1926 swego „Kawalera w błękicie" (Kavalier im Himmelblau), a po sukcesie, jakim ta operetka cieszyła się przez długi szereg miesięcy, wystawia w trzy lata później „Karetę miłości" (Liebeskutsche) i nią ugruntowuje swe powodzenie „nad modrym Dunajem". Przed rokiem wprowadzony na afisz „Valentino" potwierdza tylko pochlebną opinję miarodajnych krytyków o talencie kompozytora. P. Philipp prowadził stronę muzyczną przedstawień rewjowych z Ordonówną i Symem w Krakowie i wykazał pierwszorzędną technikę jako dyrygent i akompanjator.

el.



Opowieść z EPOKI KAMIENNEJ

7-my ODCINEK.

H. G. WELLS | **PRZEKŁAD W. de RICHE** | **ILUSTR. CHARLIE**

Spłoszony podczas paszy chciał kogoś powalić i stratować. Pędził na nich od strony lewej, ze złośliwemi małemi oczkami, czerwonemi z gniewu, z wielkim rogiem opuszczonym i ogonem sterczącym w tyle jak maszt. Przez chwilę Ughlomi miał zamiar zeskoczyć i uciec ale ku jego zdziwieniu, staccato kopyt stało się szybsze, a nosorożec i jego ciężkie krótkie nogi znikły mu z przed oczu. — W przeciągu dwóch minut przebyli kwitnące krzewy i znaleźli się na równinie. Przez chwilę słyszał jeszcze tupot ścigających ich ciężkich nóg, a potem wydało mu się, że Yaaa nietylko nie rozgniewał się, ale nawet nigdy nie istniał.

Koń nie zwalniał biegu... Galopował ciągle.

Ughlomi drżał z podniecenia. Podniecenie w owych czasach było równoznaczne z obrazą.

— Ha! Ha! Wielkonosy! — zawołał, próbując odwrócić głowę, aby zobaczyć widniejącą w oddali plamkę ścigającego go zwierza. — Czemuż nie możesz ciskać kamieni? — zakończył, wydając głośny okrzyk.

Ale okrzyk ten nie był szczęśliwy, gdyż spłoszył rumaka. Uskoczył wbok. Ughlomi znalazł się znowu w niewygodnem położeniu. Stwierdził, że wisi na koniu za jedną rękę i nogę.

Reszta gonitwy była zaszczytna ale mało przyjemna. Widział nad sobą przeważnie tylko błękitne niebo, a było to połączone z niemiłemi, fizycznemi wrażeniami. Wkońcu zaczepił się o krzak tarniny i puścił konia.

Upadł na ziemię, dotykając jej ramieniem i policzkiem, a potem, po wielu skomplikowanych i szybkich ruchach, uderzył o nią znowu tyłem głowy. Ujrzał wszystkie gwiazdy. Zakręciło mu się w głowie. Potem stwierdził, że siedzi na torfowisku, w odległości sześciu kroków za krzakiem. Przed nim znajdowała się przestrzeń, pokryta zieloną trawą, a w oddali garść ludzi... Koń zawrócił na prawo, galopując.

Ludzie byli na drugim brzegu rzeki, kilku jeszcze w wodzie, ale wszyscy biegli, co sił starczyło. Zjawienie się potwora, który rozleciał się na dwoje, przeraziło ich niezmiernie. Ughlomi przyglądał się im przez jakąś minutę zgoła obojętnie. Zakręt rzeki, obozowisko wśród trzcin i królewskich paproci, cienkie smugi dymu, wzbijającego się ku niebu, wszystko to było mu dobrze znane. Było to miejsce, gdzie koczowali synowie Uyi, Uyi, przed którym uciekł wraz z Eudeną, którego spotkał w lasku leszczynowym i zabił Pierwszą Siekierą.

Zerwał się na równe nogi, jeszcze ogłuszony wskutek upadku, a kiedy to uczynił, biegnący na wszystkie strony uciekinierzy odwrócili się i spojrzeli na niego. Kilku wskazywało na niknącego w oddali konia, nawołując się wzajemnie. Było ich mniej, niż przedtem, sądził, że inni się ukryli. Przy kupie kamieni do rzucania powinien siedzieć Wau — ale przypomniał sobie, że Waua zabił. Znalazłszy się nagle w znanych dobrze okolicach, zapomniał na chwilę o wąwozie, niedźwiedziach i Eudenie.

Stanął na brzegu rzeki i spojrzał na na obóz. Jego zdolność rachowania była bardzo ograniczona, upewnił się jednak, że plemię było w istocie mniej liczne. Mężczyźni mogli polować, ale było mniej kobiet i dzieci. Wszczął zatarg z Uyą i Wauem — nie z innymi.

— Dzieci Uyi! — zawołał.

Odpowiedzieli jego nazwiskiem, z pewną trwogą, gdyż zdumiał ich sposób, w jaki przybył.

Przez pewien czas rozmawiali ze sobą. Potem jakaś starucha odpowiedziała mu głosem przenikliwym.

— Pan nasz jest Lwem.

Ughlomi nie zrozumiał. Odpowiedziało mu teraz kilku:

— Uya powrócił. Powrócił, jako Lew. Panem naszym jest Lew. Przychodzi w nocy. Zabija, kogo chce. Ale nikt inny nie ma prawa zabijać nas, Ughlomi, nikt inny!

Ughlomi jeszcze nie zrozumiał.

— Panem naszym jest Lew. Nie rozmawia więcej z ludźmi.

Ughlomi stał, przyglądając się im. Miewał złe sny — wiedział, że Uya trwał jeszcze, chociaż Uyę zabił. A teraz oni mówili mu, że Uya jest Lwem.

Pomarszczona starucha, strażniczka ognia, odwróciła się nagle i wypowiedziała kilka słów po cichu do otaczających ją ludzi. Była to, w istocie, bardzo stara kobieta, gdyż była pierwszą żoną Uyi, który pozwolił dożyć jej do wieku dla kobiet niezwykłego. Odznaczała się zawsze sprytem i chytrością. Umiała przypodobać się Uyi i wyłudzać od niego najlepsze kąski. A teraz odgrywała ważną rolę w radzie. Mówiła po cichu, a Ughlomi przyglądał się ze wstrętem jej ohydnej postaci. Potem zawołała głośno:

— Przyjdź do nas, Ughlomi!

Jedna z dziewcząt powtórzyła:

— Przyjdź do nas, Ughlomi! — I wszyscy zaczęli wołać: — Przyjdź do nas, Ughlomi!

Rzecz dziwna, jak zmieniło się ich zachowanie, kiedy starucha zwróciła się do niego.

Stał, mierząc ich bacznym wzrokiem. Zaproszenie sprawiło mu przyjemność, a dziewczyna, która przemówiła pierwsza, była bardzo ładna. Ale przypomniała mu ona Eudenę.

— Przyjdź do nas, Ughlomi — wołali, a głos staruchy panował nad innymi. Ale na dźwięk tego głosu zbudziły się w nim wątpliwości.

Stał na brzegu rzeki, Ughlomi — Ugh Myślący — a myśli jego zwolna przybierały kształty określone. Po chwili przestali krzyczeć, niepewni, co uczyni. Ughlomi wahał się. Nagle obawa, a raczej ostrożność, zwyciężyła. Odwrócił się, nie odpowiadając im i zaczął iść w stronę, skąd przybył, w stronę krzaków tarniny. Całe plemię zaczęło go znów przywoływać. Zawahał się i odwrócił, potem poszedł dalej, potem znów się odwrócił, znów poszedł dalej, spoglądając w ich stronę smutnemi oczyma. Ostatni raz zrobił nawet dwa kroki wstecz, zanim nie powstrzymała go trwoga. Ujrzeli, że zatrzymał się jeszcze raz, ale wstrząsnął głową i znikł w krzakach tarniny.

Wtedy wszystkie kobiety i dzieci podniosły głos razem i wezwały go w ostatnim, próżnym wysiłku.

Daleko, wdole rzeki trzciny kołysały się pod wiatrem w miejscu, gdzie stary lew, który zabrał się do jedzenia ludzi, spoczywał w swojem legowisku.

Starucha zwróciła twarz w tamtą stronę i wskazała palcem na krzaki tarniny. — Uya! — wrzasnęła. — Tam idzie twój wróg. Czemu pożerasz nas w nocy? Chcieliśmy schwytać go w zasadzkę! Tam idzie twój wróg, Uya!

Ale lew, który tuczył się na ciałach członków plemienia, drzemał. Nie słyszał krzyków. Dnia tego zjadł na obiad jedną z tłustszych dziewcząt i był



Myśliwi przyprowadzili ze sobą Eudenę...

w doskonałem usposobieniu. W istocie, nie rozumiał, że był Uyą i że Ughlemi był jego nieprzyjacielem.

Tak Ughlemi przejechał się po raz pierwszy na koniu i usłyszał o lwie Uyi, który zajął miejsce Wodza Uyi i pożerał plemię. I wracając spiesznie do wąwozu, nie myślał już o koniu, ale o tem, że Uya żył jeszcze i że musi go zabić lub zginąć. Widział ciągle przed sobą wystraszoną garść kobiet i dzieci, wołających, że Uya był lwem!

I nagle, bojąc się, aby nie zaskoczyły go ciemności, zaczął biec.

ROZDZIAŁ IV.

Lew Uya.

Stary lew miał szczęście. Plemię było do pewnego stopnia dumne z swego władcy, ale na tem kończyło się jego zadowolenie. Przybył on tej samej nocy, kiedy Ughleni zabił Chytrego Uyę i dlatego nazwano go Uyą. Ogień przygasł i ciemność zapadła. A kiedy rozmawiali ze sobą, wlepiając oczy w mrok nocy, zastanawiając się z trwogą, co Uya uczyni im we śnie teraz, kiedy był nieżywy, usłyszeli w pobliżu potężniejący z każdą chwilą ryk lwa. Potem wszystko ucichło.

Zatrzymali oddech w piersiach tak, że słychać było tylko plusk deszczu i syk kropel, spadających na popiół. A potem, po długim czasie, rozległ się trzask, okrzyk trwogi i pomruk lwa. Zerwali się na nogi, krzycząc, wrzeszcząc, biegając to tu, to tam, ale ogień nie dał się rozpalić i w ciągu minuty ofiara zawleczoną została między paprocie. Był nią Irk, brat Waua.

Tak przybył lew.

Paprocie były jeszcze mokre od deszczu następnej nocy, kiedy wrócił i porwał rudowłosego Klika. To mu wystarczyło na dwie noce. A potem, w ciemności, w czasie nowiu, przybył trzy razy, noc po nocy, chociaż palili wielkie ognisko. Był to stary lew, z tępemi zębami, ale spokojny i milczący; widział on ogień już nieraz; spotkał się z ludźmi nie po raz pierwszy. Trzeciej nocy zakradł się między zewnętrzne i wewnętrzne ognisko, przeskoczył przez kupę kamieni do rzucania i powalił Irma, syna Irka, który był teraz wodzem plemienia. Była to straszna noc, ponieważ zapalili wielkie żagwie z paproci i pobiegli za lwem, który wypuścił Irma. Ujrzeli w świetle ognia, że Irm zerwał się i pobiegł w ich stronę... Ale lew dopadł go w dwóch skokach. W ten sposób zakończył życie Irm.

Tak przyszła trwoga i wypędziła z ich życia wszelką radość wiosny. Zginęło już pięciu ludzi, a w ciągu czterech następnych nocy liczba ich wzrosła do ośmiu. Zdobywanie żywności okazało się bezcelowem, gdyż nikt nie wiedział, na kogo przyjdzie kolej, a przez cały dzień kobiety — nawet te, które miały stanowiska uprzywilejowane — trudziły się, aby zebrać odpowiednią ilość chrustu na noc. Myśliwi źle polowali; w obozie zapanował głód, jakby to była zima, a nie czasy wiosenne. Plemię mogło zmienić miejsce pobytu, gdyby miało wodza, ale wodza nie było i nikt nie wiedział, gdzie uciec przed lwem. Stary lew tuczył się zatem i dziękował niebiosom za smaczne kąski. Dwoje dzieci i wyrostek zginęli, kiedy nowy sierp ukazał się na niebie i wtedy stara strażniczka ognia przypomniała sobie we śnie o Eudenie i Ughlomim i o tem, jak zginął Uya. Żyła w trwodze przed Uyą przez wszystkie dni swego żywota, a teraz żyła w trwodze przed lwem. To, aby Ughlomi zabił Uyę ze słusznych powodów, nie mogło się jej w głowie pomieścić: Uya szukał wciąż swego wroga!

A potem zjawił się Ughlomi... dziwny zwierz, galopujący przez równinę, który nagle zmienił się w dwoje zwierząt, konia i człowieka... Ujrzała Ughlomiego na drugim brzegu rzeki... i wszystko stało się dla niej jasne. Uya mścił się na nich, ponieważ nie zabili Ughlomiego i Eudeny.

Mężczyźni wrócili do obozu, kiedy słońce jeszcze świeciło na niebie. Wrócili i opowiedziano im o Ughlomim. Stara przeszła z nimi przez rzekę i pokazała im jego ślady. Siss Tropiciel znał ślady Ughlomiego. — Uya pragnie śmierci Ughlomiego — woła starucha. — Lew chce pożreć Eudenę. Przychodzi co nocy, szukając Eudeny i Ughlomiego, a nie mogąc ich znaleźć, wpada w wściekłość i zabija. Zabijcie Ughlomiego i Eudenę!

Zwróciła się w stronę legowiska lwa, jak czasami zwracała się za życia do Uyi. — Czy nie tak, mój panie? — zawołała. I jakby w odpowiedzi, wysokie trzciny pochyliły się pod tchnieniem wiatru.

Mrok zapadał, a z obozowiska dochodziły odgłosy ostrzenia włóczni na jutrzejsze polowanie. Przyszła noc i zanim księżyc ukazał się na niebie, lew porwał córkę Sissa Tropiciela.

Rano, przed wschodem słońca, Siss Tropiciel i młody Wauhau, który teraz obrabiał kamienie, a razem z nimi Jednooki, Bo, zjadacz wężów, dwaj rudowłosi, Kocia Skóra i Wąż, wszyscy pozostali przy życiu synowie Uyi, zabrali włócznie i kamienie do rzucania i ruszyli za tropem Ughlomiego przez gęste zarośla, gdzie pasł się Nosorożec Yaaa i jego bracia i przez równinę, rozciągającą się aż do bukowego lasu.

Nocy tej ogniska płonęły dumnie i wspaniale... Lew pozostawił w spokoju kobiety i dzieci.

Następnego dnia, kiedy słońce jeszcze było wysoko na niebie, wrócili myśliwi — wszyscy, wyjąwszy Jednookiego, który leżał z roztrzaskaną czaszką na dnie wąwozu. (Kiedy Ughlomi wrócił tego wieczora od koni, krążyły już nad nim sępy). Myśliwi przyprowadzili z sobą Eudenę poranioną i pokrytą sińcami, ale żywą. Albowiem starucha wydała rozkaz, aby schwytano ją żywcem. — Nie trzeba jej zabijać. Zabije ją sam Uya, lew. — Ręce jej skrępowano łykiem, jak mężczyźnie. Szła zmęczona, potykając się, z włosami spadającemi jej na oczy i mokremi od krwi. Oglądali ją ze wszystkich stron, a Zjadacz Wężów, którego obdarowała tem nazwiskiem, szydził z niej i bił ją drewnianą włócznią. Ilekroć uderzył, oglądał się za siebie, jakby dokonał jakiegoś śmiałego czynu. Inni oglądali się również za siebie, raz po raz, a wszyscy spieszyli się z wyjątkiem Eudeny. Starucha na ich widok wydała okrzyk radości.

Zmusili Eudenę do przejścia przez rzekę ze skrępowanemi rękami, chociaż prąd był wartki, a kiedy poślizgnęła się, stara kobieta zaczęła krzyczeć, najpierw z radości, a potem z trwogi, aby się nie utopiła. Wyciągnęli Eudenę na brzeg, ale nie mogła utrzymać się na nogach. Pozwolili jej zatem usiąść, z nogami zanurzonemi w wodzie, z błędnemi oczami i twarzą obojętną. Całe plemię zebrało się przy brodzie — nawet mały Haha, który ledwie umiał chodzić — i przyglądało się Eudenie i starej kobiecie, jak zranionemu niedźwiedziowi i myśliwemu, który go upolował.

Starucha zerwała z szyi Eudeny naszyjnik Uyi i włożyła go sama na szyję — wszak ona nosiła go pierwsza. Potem chwyciła Eudenę za włosy, a wziąwszy włócznię z rąk Sissa, zaczęła ją bić, co sił starczyło. Kiedy się zmęczyła, spojrzała w twarz dziewczęcia. Oczy Eudeny były zamknięte, a rysy jej oblicza wyrażały upór; leżała tak cicho, że starą zdjął lęk, czy nie umarła. Ale nozdrza jej drżały. Widząc to, starucha uderzyła ją w twarz, wybuchnęła śmiechem, a zwróciwszy Sissonowi włócznię, odstąpiła kilka kroków wstecz i zaczęła złorzeczyć i obrzucać ją obelgami.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).

NA KALIFORNIJSKIEJ HACJENDZIE... →



M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI IRLANDZKIE (IRYJSKIE)

CZĘŚĆ III.



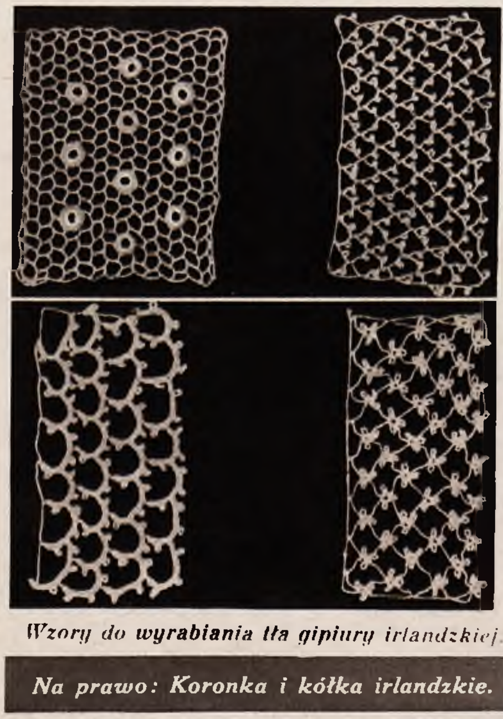
Na lewo: Stylizowane kwiaty w technice irlandzkiej.

Gdy chcemy złożyć całość z wyszydełkowanych szczegółów, rysujemy na zielonem albo niebieskiem płótnie (może być i na białem) kształt naszej roboty, kołnierza, serwetki, żabotu, torebki lub gietki i w obwodzie tego kształtu układamy wedle gustu nasze wykończone motywy. Prawą stroną do płótna motywy te przyfastrygować musimy mocno. Następnie robimy łańcuszek ,który także należy przyfastrygować na całym obwodzie danego kształtu. Wkońcu szydełkujemy tło między motywami a łańcuszkiem na obwodzie. Tło można zapełniać albo rzędami, albo kulisto. Robiąc tło, zaczepiamy o brzegi motywów, a także o łańcuszek na obwodzie.

Cała robota musi być dobrze spojona, by się nie rozleciała, gdy ją zdejmujemy z płótna, przecinając ścieg i fastrygi z lewej strony płótna.

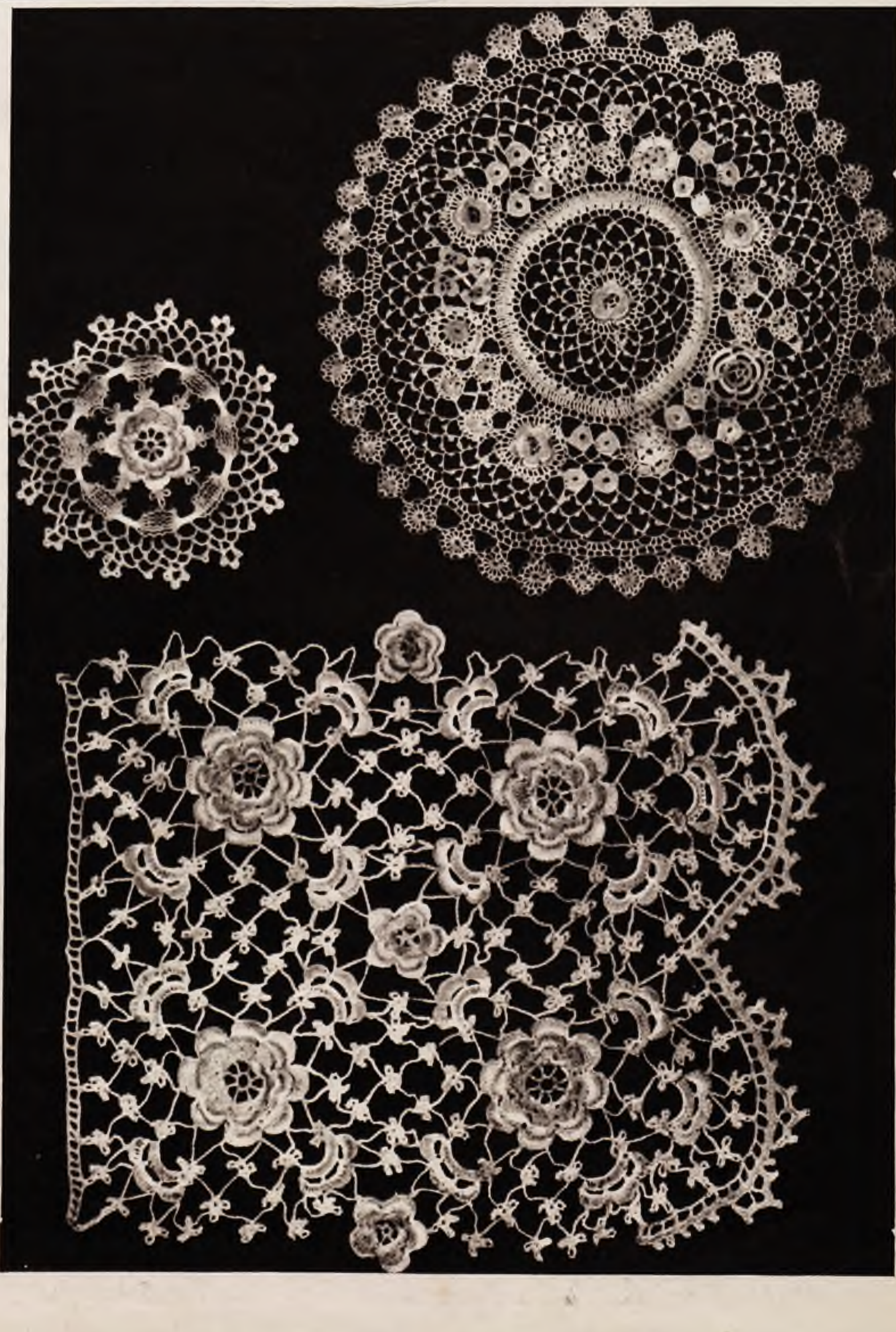
W jednej robocie zastosować można i 3 tła. Najzwyklejsze tło, to kilka oczek napowietrznych i niski słupek. W tłach możemy dla ozdoby robić pikoty, ale wtedy tło musi być rzadkie.

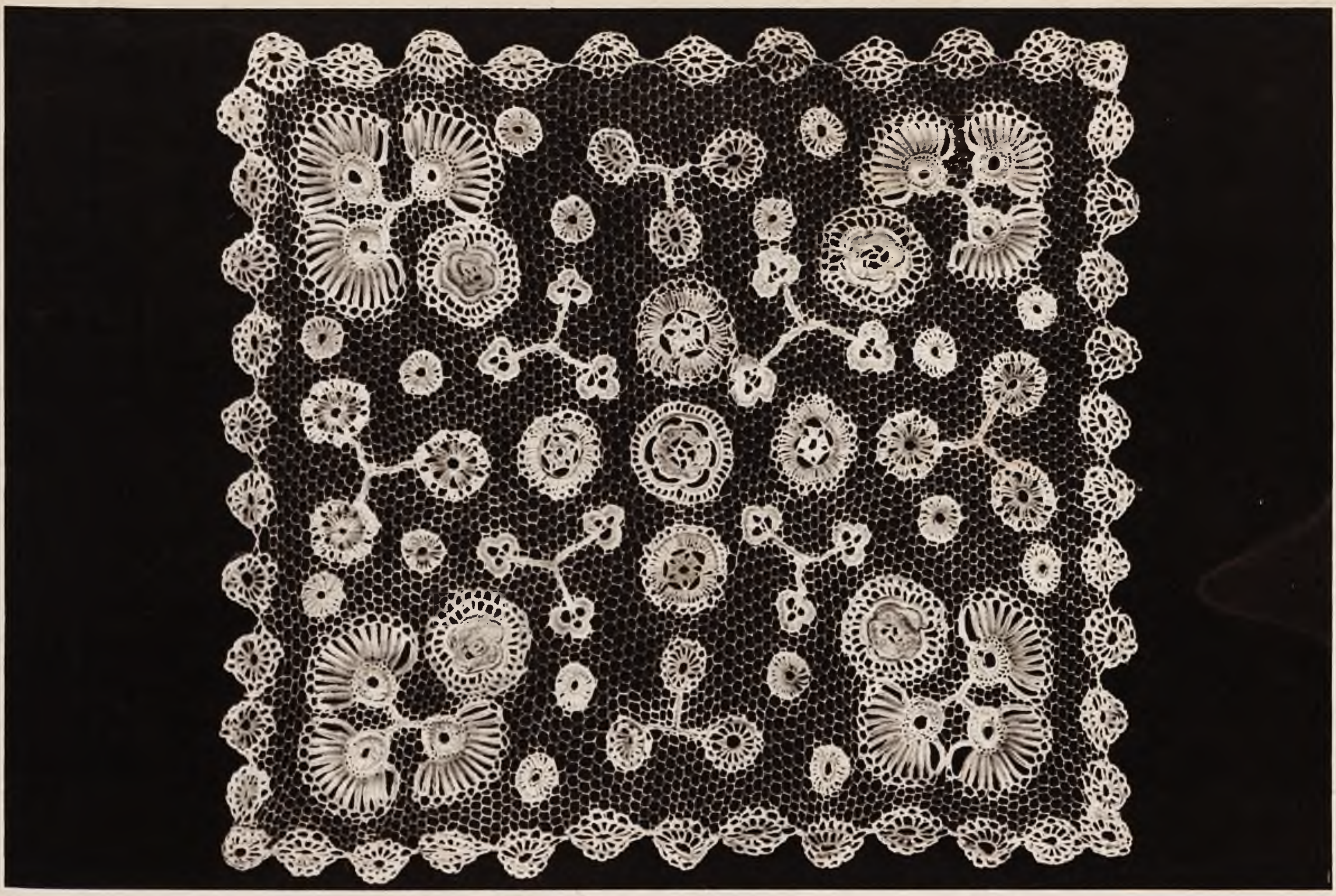
Na tem kończymy artykuły. objaśniające wykonywanie koronek techniką irlandzką i życzymy naszym „słuchaczkom" jaknajudatniejszych rezultatów.



Wzory do wyrabiania tła gipiury irlandzkiej.

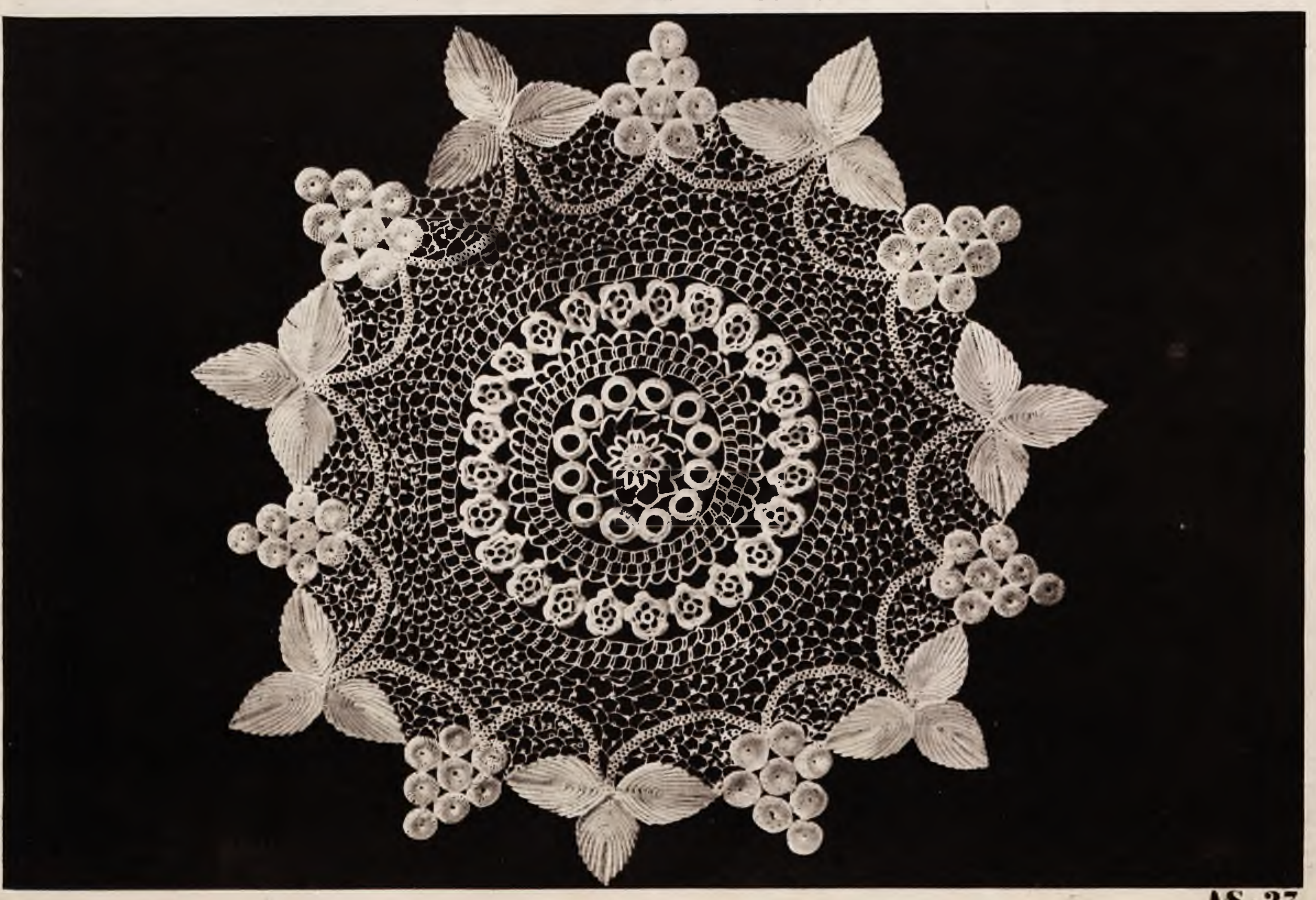
Na prawo: Koronka i kółka irlandzkie.





Delikatna serwetka irlandzka.

Poniżej: Prześliczna serwetka, wykonana gipiurą irlandzką.



Łamigłówki mody męskiej.

Jak zestawiać kolory?

UBRANIE	KOSZULA	KRAWATKA	KAPELUSZ	BUCIKI
granatowe	popielata	ciemno-niebieska	popielaty	czarne
bronzowe	kremowa	pomidorowa	beige	mahoń
piaskowe	różowa	żółta	panama	bronzowo-beige
popielate	niebieska	bordo	granatowy	bronzowe
gołąbkowe	zielona	ciemno-zielona	rezeda	czarno-białe
zielone	kawowa	biała	bronzowy	bronzowo-białe



Zagranica sygnalizuje powrót motylków, które noszone są przedewszystkiem do strojów sportowych...

Jeszcze wiosna nie jest w pełni — a już musimy myśleć o nowościach letniej mody męskiej, — a to tembardziej, że „moda wiosenna“ — zwłaszcza u nas, wobec krótkotrwałości tej pory roku — jest jedynie terminem technicznym, o małem stosunkowo znaczeniu praktycznem.

Cóż nadaje ubiorowi męskiemu nutę letnią? Przedewszystkiem lżejsze, bardziej przewiewne materjały, jaśniejsze kolory, żywsze barwy krawatów.

Spopularyzowany już od kilku lat materjał „fresco“ albo „tropical“ w dalszym ciągu dominuje jako najodpowiedniejsza tkanina na męskie ubrania. Szczególnie wzięte są w tym roku jasno-popielate, zielonkawe, oraz beżowe kolory, o szeroko rozstawionych, cienkich paskach. Pozatem przyjmują się coraz bardziej tkaniny płócienne, również dyskretnie wzorzyste — tak, że na pierwszy rzut oka wyglądają jak materjały wełniane.

Do każdego ubrania — odpowiedni krawat. By ułatwić naszym Czytelnikom rozwiązywanie zawiłej nieraz zagadki: „jaki krawat mam włożyć?“, umieszczamy powyżej tabelkę, w której zestawiono odpowiednie kombinacje ubrań, koszul, krawatów, kapeluszy i bucików. Skoro już mówimy o bucikach — to do każdego jasnego ubrania letniego nadaje się bucik kombinowany z białem (bądź czarna skóra i biała ircha, bądź też bronzowa skóra i biała ircha). Takie buciki są równie ładne, jak i praktyczne.

Zapas tradycyjnych krawatów letnich, z lekkiego jasnego fularu, wzbogacają w tym roku motylki, które po wieloletniej banicji triumfalnie wkraczają znowu na widownię. Możemy „zrewidować“ nasze szafy i spewnością znajdziemy gdzieś schowane stare, nieużywane motylki. Przywrócimy je znowu do łaski. Fasonem swym zbliżone są do krawatów smokingowych, o normalnej szerokości. Szczególnie nadają się one do ubrań o charakterze sportowym.

Jeśli zaś idzie o pewne zmiany, to należy także wskazać na odwrócenie kombinacji: jasne spodnie — ciemniejsza marynarka. Teraz zestawiamy odwrotnie: ciemniejsze spodnie flanelowe, do których nosimy jaśniejszą marynarkę. Obok tego zestawienia tradycyjna kombinacja szarych spodni flanelowych z jasno-beżową marynarką wygląda doskonale.

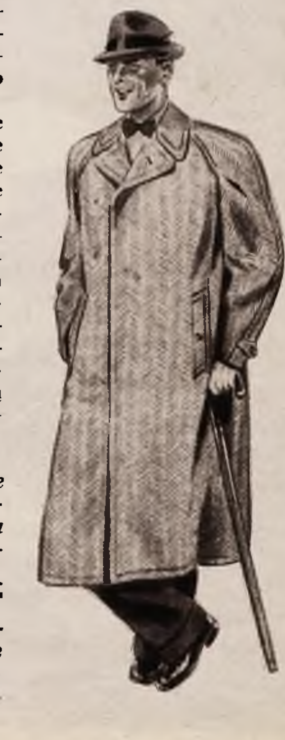
Brummell.

Poniżej: I w tym roku modną jest popielata flanela, w dyskretne, jaśniejsze paski...





Ubranie marynarkowe z „frescotex'u“, najodpowiedniejszego materjału na lato, w dyskretne, szeroko rozstawione paski. ←



Jednorzędowy raglan, wysoko zapinany na kryte guziki, z szewiotu o wzorze fish-gret. →

Życie towarzyskie i artystyczne

ARYSTOKRATYCZNY ŚLUB W LONDYNIE.



Ślub miss Ruth Primrose z Karolem Wood był jednem z najważniejszych ostatnio wydarzeń w londyńskim high-life'ie, gdyż zarówno panna młoda, która jest wnuczką hr. of Derby, oraz po stronie matki hr. of Rosebery, jak też pan młody, syn lorda-strażnika prywatnej pieczęci, lorda Halifax, należą do najwybitniejszych i najbogatszych domów Anglji. Starym zwyczajem ślub odbył się w katedrze św. Pawła, a żołnierze angielskiej gwardji konnej tworzyli swemi szablami szpaler nad młodą parą. Oto państwo młodzi opuszczający katedrę św. Pawła.

TARTANY KLANOWE STROJEM WESELNYM.



W katedrze św. Wita w Edynburgu odbył się ostatnio ślub młodego lorda Reay, będącego głową klanu Mackay z miss Mary Younger. Solidarność klanowa spowodowała przybycie licznych członków tego rodu na ślub, a pan młody wystąpił w tradycyjnym stroju swego klanu, który kompozycją kraty materjał zaznacza swą odrębność.

✦ ✦ ✦

SUKCESY ZDOLNEJ MALARKI POZNAŃSKIEJ.

Do najzdolniejszych młodych artystek - malarek Poznania należy bezwątpienia p. Marja Zabłocka, absolwentka Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych, uczennica znanego artysty i pedagoga prof. Jana Wronieckiego. Po dłuższym pobycie na Riwierze, gdzie p. Zabłocka studjowała koloryt pięknej przyrody Południa, artystka wzięła udział w szeregu wystaw, a m. in. w Instytucie Krzewienia Sztuki w Poznaniu. Specjalnością młodej artystki jest grafika, a ilustracje do wierszy Leśmiana należą do najlepszych jej prac, lecz również i obrazy olejne wskazują na duże zdolności. Poza swą pracą malarską p. Zabłocka niezwykle jest czynna jako członkini Związku Młodych Ziemianek na polu społecznem.



NA WYCIECZCE W TATRACH.



Do Zakopanego zawitała w połowie kwietnia wycieczka dziennikarzy zagranicznych, którzy z wielkiem zainteresowaniem zwiedzili urocze okolice stolicy zimowej, jak również odbyli przejażdżkę kolejką na Kasprowy Wierch, poczem wrócili do Kuźnic. Na zdjęciu p. konsulowa Hulanicka, która towarzyszyła wycieczce, ze swoim ulubionym pieskiem.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA RAKOWA. 4 do 6 żywych raków (uwaga, bo nieżywe mogą być trujące) wypłukać dobrze w kilku wodach, następnie wrzucić na wrzący smak nagotowany z różnych jarzyn z dodatkiem kminku, kopru i soli. Po dziesięciu minutach ciągłego gotowania wyjmuje się raki z rosołu i rozbiera je w taki sposób, aby pancerza nie uszkodzić. Z szczypców i szyjek wyjąć mięso, odrzucając wnętrzności, zaś skorupki utłuc drobno i wrzucić do rondla na łyżkę masła, mięszając na ogniu, aż pozostanie same tylko czerwone masło, poczem zalewa się częścią rosołu, gotuje chwilę i przecedza przez sitko, następnie zalewa się skorupki resztą rosołu, znów gotuje i odcedzony rosół mięsza z poprzednim. Nadzianka do skorupek: 5 dkg ryżu ugotować na sypko, dodać utarte żółtko z łyżką masła i posiekanem mięsem z szyjek rakowych oraz pianą z białka, napełnić skorupki i zagotować je na zupie. Wkońcu zaprawić zupę jedną czwartą litra śmietany rozbitej z łyżeczką mąki, zagotować i wydać. Do wazy włożyć resztę ryżu i mięso rakowe z szczypców.

RAKI Z WODY. Na osobę liczy się 5—6 dużych, tzw. „sola“ raków. Wymyte szczoteczką i opłukane w kilku wodach układa się je na misce i polewa mlekiem, przez co tracą specjalny swój zapach mułu. Tymczasem zagotowuje się wodę, silnie osoloną, ze sporym pęczkiem kopru, wrzuca raki na wrzątek i gotuje około 20 minut. Podaje się je pod przykryciem, gdyż dobre są tylko ciepłe; do obierania służą spiczaste nożyki. Ponieważ obierać się je musi palcami, a plamy z raków są bardzo uporczywe, chroni się bieliznę stołową przez podkładanie pod talerze bibuły, a do obcierania palców należy stół zaopatrzyć w dostateczną ilość papierowych serwetek.

KURCZĘ NA SPOSÓB KUROPATWY. Młode tłuste kurczęta zabić w przeddzień przyprawy, oczyścić i wymyć, natrzeć wewnątrz i po wierzchu utłuczonym jałowcem i zostawić w chłodnem miejscu. Przed użyciem opłukać, naszpikować cienkiemi paskami młodej słoniny, obrumienić na maśle, następnie dusić pod przykryciem na wolnym ogniu, aż będą miękie i ładnie się zrumienią. Wyjęte kurczęta pokrajać na ćwiartki, pozostały sos podprawić gęstym buljonem i łyżką tartego chleba, rozprowadzić rosołem, włożyć na chwilę pokrajane kurczęta i wydać ułożone na półmisku, otoczone makaronem, kluseczkami lub kaszką. Sos osobno w sosjerce; zamiast buljonu i chleba użyć można kwaśnej śmietany rozbitej z mąką.

FRICASSÉE Z KURCZĄT (dla ozdrowieńców). Oczyszczone kurczęta natrzeć cytryną, aby zbielały, następnie zalać w rynce do połowy wodą, włożyć trochę jarzym jak do rosołu oraz kawałek łupki z cytryny, posolić i gotować pod przykryciem, aż będą zupełnie miękie; wtedy je wyjąć i pokrajać na ćwiartki. Rosół odlać z jarzyn, podprawić go lekką zasmażką z masła i w tym sosie poddusić chwilę kurczęta. Wyjęte układa się na środku półmiska, otacza ryżem ugotowanym na rosole, sos zaś zaciąga się żółtkiem utartem z łyżką masła deserowego i łyżeczką soku cytrynowego, uważając, aby się nie zagotował i polewa nim potrawę po wierzchu. Dać szczyptę cukru i soli do smaku.

HACHÉE Z JAJAMI W KOSZULKACH. Kawałek duszonej pieczeni wołowej lub cielęcej zemleć wraz z kawałkiem bułki, podsmażyć na łyżce masła z siekaną cebulką, zalać paru łyżkami kwaśnej śmietany, zagotować i wyłożyć na środek ogniotrwałego półmiska. Dokoła mięsa układa się na grzankach jaja w koszulkach, t. j. jaja wybijane na wrzącą osoloną wodę i gotowane 4—5 minut. Całą potrawę posypuje się smażoną bułeczką lub parmezanem i wstawia się na 8—10 minut do gorącego piecyka.

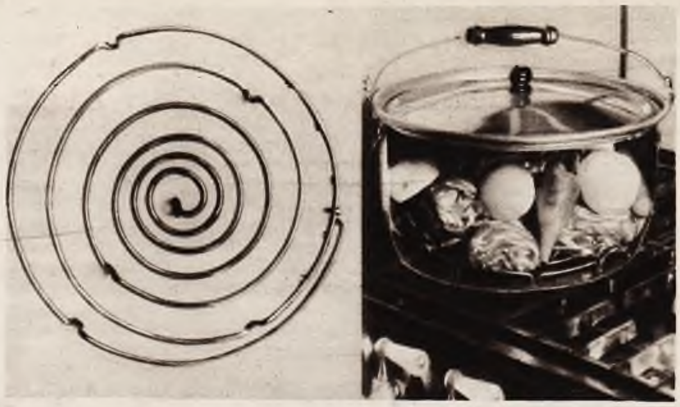
BUDYŃ Z PIECZAREK. 10 dkg pieczarek oczyścić, skrajać drobno, udusić na maśle z łyżeczką siekanej cebulki. 3 żółtka utrzeć z 4 dkg masła, dodać małą bułkę rozmoczoną w mleku, uduszone pieczarki, szczyptę soli i pieprzu, pianę z trzech białek oraz 3 łyżki tartej przesianej bułeczki. Masę tę wkłada się do formy budyniowej, masłem natartej i bułką wysypanej, następnie gotuje na parze trzy kwadranse. Budyń, wyłożony na półmisek, polewa się rumianem masłem z bułeczką.

SAŁATA SURÓWKA. Z nastaniem wiosny urozmaici się nasz stół, zalecaną przez lekarzy sałatą, sporządzaną z surowych jarzyn. Do sałaty tej użyć można każdej jarzyny, utartej na tarce. Młode jarzyny, ukazujące się na targu, cienko skrajane lub starte, miesza się razem, zaprawia solą, sokiem cytrynowym i oliwą lub kwaśną śmietaną. Sałata powinna być przyrządzona na godzinę przed podaniem. Może być również mieszana z majonezem i przybrana twardemi jajami; rzodkiewką i zieloną sałatą. Mieszanina płatków pomidorów i ogórków nie wymaga prócz soli, cukru i soku cytrynowego żadnej zresztą przyprawy.

JARMUŻ. 1/4 jarmużu, 7 dkg masła, łyżeczka śmietany, trochę mąki. Obmyty jarmuż wrzucić na gotującą wodę, podgotować trochę, scedzić z wody, posiekać drobno. Masło rozpuścić, wrzucić na nie usiekany jarmuż, posypać mąką i gotować 2—3 minut. Posolić do smaku, odstawić, wymieszać z łyżką śmietany i niedopuścić do zagotowania się.

Sc. Ko.

GOTOWANIE NA PODSTAWCE



Bardzo pożytecznym przyrządem w kuchni jest podstawka, sporządzona ze spiralnego drutu, w kilku miejscach zagiętego tak, że tworzy dla tej podstawki odpowiednie nóżki. Podstawkę można stosownie do objętości garnka rozszerzać lub zwężać. Wkłada się ją na spód garnka, aby odizolować potrawy od ogrzanego dna naczynia i w ten sposób uniknąć przypalenia. Użycie takiej podstawki jest szczególnie wskazane przy duszeniu mięsa z jarzynami (patrz prawa fotografja).

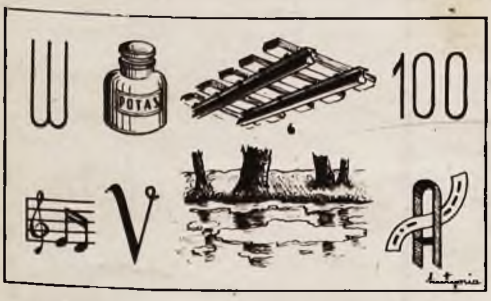
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 19 **Maj** Dni 31
Niedziela **3** Konstyt. 3 Maja	Zupa rakowa. Budyń z pieczarek. Kurczęta na dziko z makaronem i brusznicami. Tort z orzechów laskowych z kremem. Kolacja: Pasztet z wątróbki cielęcej z sałatą.
Poniedziałek **4** Florjana	Zupa z młodych jarzyn z tartem ciastem. Szparagi z rumianem masłem. Zraziki cielęce w musztardowym sosie z śmietaną. Kompot z rabarbaru. Kolacja: Hachée z jajami w koszulkach.
Wtorek **5** Piusa pap.	Rosół z smażonym grzybkiem. Sztuka mięsa z sosem szczypiórkowym. Filety a la Colbert z młodemi ziemniaczkami. Budyń gabinetowy z szodonem. Kolacja: Raki z wody. Chleb z liptowską bryndzą.
Środa **6** Jana w Oleju	Zupa szparagowa z grzankami. Jaja au gratin. Mostek cielęcy nadziewany wątróbką z zieloną sałatą. Kruchy placek z serem. Kolacja: Młode ziemniaczki z kefirem.
Czwartek **7** Domiceli, Gizeli	Zupa panade z bułek. Kotleciki z móżdżków z smażonemi ziemniaczkami. Pieczone kurczęta z zieloną sałatą w śmietanie. Galaretka z rabarbaru. Kolacja: Szpinak z kiełbaskami.
Piątek **8** Stanisława bisk.	Zupa grzybowa z płatkami. Kalafior z masłem. Szczupak w sardelowym sosie z makaronem. Legomina z ryżu i kwaśnej śmietany. Kolacja: Faszerowane jaja z sosem tatarskim.
Sobota **9** Grzegorza bisk.	Zupa pomidorowa z ryżem. Hachee z płucek cielęcych. Sznycle cielęce naturalne z sałatą i marchewką z groszkiem. Tort pomarańczowy. Kolacja: Surówka z jarzyn, chleb, masło, ser.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie rebusu z N-ru 17.



„W-k-rót-c-ed-ni-Kra-kowa".

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

PIĘĆ KAMIENI DOMINA.



Rysunek wskazuje 5 kamieni domina ułożonych w ten sposób, że suma oczek dwóch kamieni skrajnych wynosi pięć, a suma oczek trzech kamieni środkowych również pięć. Prócz powyższego są jeszcze trzy układy o tej samej właściwości, mianowicie:

(1—0) (0—0) (0—2) (2—1) (1—3)
(1—0) (0—0) (0—2) (2—1) (1—3)
(2—0) (0—0) (0—1) (1—3) (3—0)

Ile można ułożyć pięciokamieniowych układów o sumach kamieni zewnętrznych i wewnętrznych równych sześciu? Oczywiście 1 należy przystawiać do 1, 2 do 2 itd.

HUMOR ZAGRANICZNY



Operowany do chirurga: — Co pana spowodowało, panie doktorze, że się pan poświęcit chirurgji?

Chirurg: — Wie pan, już jako mały chłopak przepadałem za krojem i szyciem!...

(„Le Rire")

SZUKASZ SZCZĘŚCIA?

Popularny muzyk p. Heyman wygrał kilkakrotnie większe sumy na loterji, poczem założył własną kolekturę pod nazwą: „Ja wygrałem — wygraj też!".

P. H. finansował również ostatnio jeden z polskich filmów i podobno ma wkrótce założyć kolekturę pod nazwą: *„Ja dostałem w skórę — dostań też!"*.

◆◆

Profesor Piccard przyjechał do Krakowa. Zamieszkał w naszem mieście przez parę tygodni. Wreszcie zwierza się swemu przyjacielowi:

— Wiesz co, tu się dobrze czuję, nareszcie jestem wśród swoich. Tu wszyscy chodzą z takiemi minami, jakby się chcieli jaknajprędzej wyrwać do stratosfery.

ZROZUMIAŁE OKREŚLENIE.

— No i cóż, panie Apfeltrost, jak tam u pana?

— Żebym ja miał takie zdrowie, jakie są moje interesy, a takie interesy jak moje zdrowie, tobym już mógł wyjechać na parę tygodni do Zakopanego...

Rozwiązania z N-ru 15-go.

Z KRONIKI KRYMINALNEJ.

Ilość **niewykrytych** morderstw jest z założenia nieznana, a więc przytoczona statystyka jest niemożliwa.

DZIWNE POKREWIEŃSTWO.

Przedstawionej na fotografji osoby córki syn jest własnym synem pani Kunegundy jako ojciec jej wnuczki. Osoba z fotografji jest jej ojcem lub matką.

PIĘĆ KAMIENI DOMINA.

Domino można ułożyć dziewięcioma sposobami. Oto jeden z nich:
(2 — 0) (0 — 0) (0 — 1) (1 — 4) (4 — 0).

NA SCENIE.

Karol Borowski, jeden z czołowych reżyserów teatrów T. K. K. T., dwumiesięczny urlop wykorzystał na opracowanie w kilku miastach polskich następujących sztuk: „Wesele Figara" Beaumarchais'go (w Wilnie), „Powrót Mamy" Jasnorzewskiej (w Katowicach), „Śluby panieńskie" Fredry (w Bydgoszczy) i „Pierwszy Legjon" Lavary'ego (w Poznaniu). Sukcesy „Wesele Figara" i „Powrotu Mamy" wspominaliśmy na tem miejscu, teraz zanotować należy duży sukces artystyczny dwóch dalszych przedstawień i ich powodzenie u publiczności.

„Śluby Panieńskie" w Teatrze Miejskim w Bydgoszczy zostały przez Borowskiego „odbronzowione", unowocześnione, a raczej zbliżone publiczności. Publiczność w Bydgoszczy na afiszu widziała te same, dobrze sobie znane, nazwiska, a jednak na scenie widziała innych ludzi, tak zdołali się przeistoczyć w wytrawnej reżyserji Borowskiego. Motyczyńska (Aniela), Faszkowska (Klara), Szyndler (Gustaw), Dzwonkowski (Albin), Morozowiczowa (Dobrójska) i Lochman (Jan), wszyscy zasługują na uznanie.



Irena Tomaszewska i Juljusz Balicki w „Raz się tylko żyje" na scenie teatru w Częstochowie.

Teatr Kameralny w Częstochowie gra obecnie z dużem powodzeniem starannie przygotowaną komedję Kiedrzyńskiego **„Raz się tylko żyje"**. Główne role powierzono Irenie Tomaszewskiej (Julja) i Juljuszowi Balickiemu (Klusek), parze młodych, wybitnie zdolnych artystów. Dzięki ich grze słaba sztuka podoba się publiczności.

Teatr Wielki we Lwowie wznowił komedję **Bałuckiego „Grube Ryby"**. Komedja ta słynie w historji teatru polskiego z niezrównanej gry niezapomnianych Frenkla i Kamińskiego w rolach Wistowskiego i Pagatowicza. W Teatrze Wielkim odtwarzają te role Guttner i Tatarkiewicz. Guttner, jak stwierdza krytyka, jest nierówny. Obok scen doskonałych ma przeszarżowane. Tatarkiewicz świetnem zagraniem roli Pagatowicza wysunął się na czoło zespołu wraz z Leliwą, który daje ciepłą postać Ciaputkiewicza. „Grube ryby" starannie wyreżyserował Janusz Strachocki, a oprawę dekoracyjną dał im Andrzej Pronaszko. **(swb).**

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Tym razem kilka notatek o najnowszych, dobrych książkach dla **dzieci i młodzieży**. Na czoło ostatnich wydawnictw dla najmłodszych czytelników, albo tych, co jeszcze nawet liter rozróżniać nie umieją, wysuwa się książka **K. Makuszyńskiego i M. Walentynowicza „Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta ten się śmieje"**. Jest to druga część obrazkowej historyjki o awanturach i wybrykach małej małpki, powołanej do życia humorem Makuszyńskiego i Walentynowicza. Pierwsza część tej historyjki ukazała się na Gwiazdkę. Autorzy obiecali dzieciom za rok nową książkę. Tymczasem ruchliwa firma **Gebethner i Wolff** wydała ją już na Wielkanoc. Uczyniła to poprostu na życzenie samych czytelników, którzy przysyłali do Makuszyńskiego listy mniej więcej tej treści:

Niech pan prędko nam napisze
o małpeczce książkę drugą,
bo do gwiazdki jest daleko,
a nie chcemy czekać długo.

Jakie są dalsze dzieje Fiki-Miki i murzynka Goga-Goga? W wędrówce swej spotykają prof. Ossendowskiego, jeżdżą na żółwiu, dostają się do niewoli królika murzyńskiego, mają przygody ze znudzoną królewną, która tak ziewała, że nietoperz wpadł jej do ust, itd. itd., a wszystkie przygody budzić będą zachwyt młodych czytelników i salwy śmiechu, a napewno ucieszy ich i to, że Fiki-Miki i Gogo-Gogo docierają do Koziołka-Matołka, który był poprzednim ulubieńcem najmłodszych czytelników.

Dla nas dojrzałych, książka Makuszyńskiego i Walentynowicza jest dokumentem wybitnego artyzmu obu autorów. Obaj rozumieją psychologję dziecka, mają w sobie niezrównaną vis comica, Makuszyński w zgrabnych wierszach jest szczerym poetą, a Walentynowicz świetnym rysownikiem.

Dla młodzieży tasama firma wydała obecnie dwie wartościowe i zajmujące publikacje. W cyklu „Polska i Świat Współczesny" ukazały się: **Wandy Wasilewskiej „Wierzby i bruk"** oraz **Janiny Osińskiej „W pięknej Rumunji"**.

Akcja tomiku „Wierzby i bruk" rozpoczyna się w Bronowicach pod Krakowem, skąd rodzina małego Wicusia po śmierci żywiciela wyjeżdża do Krakowa, gdzie matka dla utrzymania małoletnich dzieci ciężko pracuje jako praczka. Pragnąc synowi swemu zapewnić jaknajlepsza przyszłość, oddaje go do terminu do stolarza. Ale Wickowi dłuży się terminowanie u stolarza, bieda w domu coraz większa, więc wraz z kolegą przystaje do murarki, by po ciężkiej nauce i wielu trudach zostać majstrem, samodzielnym człowiekiem. Książka Wasilewskiej pozbawiona jest wszelkiego patosu czy sentymentu, napisana jasno, rzeczowo i szczerze. Uczy młodzież cenić każdą pracę i wartość każdego człowieka.

Opowiadanie Janiny Osińskiej, jak sam tytuł wskazuje, poświęcone jest Rumunji, uczy młodzież jak wygląda kraj, jacy są ludzie, jaki dorobek gospodarczy i kulturalny wnosi w życie Europy sąsiadujący z Polską kraj. Akcja opowiadania nakreślona jest zajmująco, niektóre momenty są zupełnie piękne. **(swb).**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 3 maja.

10.15: Transmisja nabożeństwa polowego z okazji 15-tej rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego, po nabożeństwie część oficjalna uroczystości z Katowic.
12,03: Przegląd Teatralny: „Idea Teatru Narodowego" wygł. dr Władysław Dobrowolski.
12.15: Z Wilna: poranek muzyczny w wyk. ork. symf. pod dyr. Faustyna Kulczyckiego i Wanda Hendrychówna (śpiew).
15.15: Pieśni majowe z wieży marjackiej.
15.45: Z Warszawy: „Ułatwiamy sobie pracę w gospodarstwie" pogadankę wygł. inż. Fryderyk Zoll.
18.03: Z Warszawy: Powsz. Teatr Wyobraźni: premjera słuchowiska historycznego „Trzeci Maj", napisał Stanisław Nadzin.
21.00: Ze Lwowa: „Na wesołej fali lwowskiej".
22.00: Z Warszawy: muzyka taneczna w wyk. Małej ork. P. R. pod dyr. Zdz. Górzyńskiego z udz. „Trójki Radjowej", oraz wiad. meteor. dla żeglugi powietrznej.

Poniedziałek, 4 maja.

12.03: Z Warszawy: dziennik południowy.
12,25: Z Warszawy: koncert południowy w wyk. Małej ork. P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego oraz chwilka gosp. domowego.
15.30: Muzyka salonowa i rozrywkowa z płyt.
17.15: Z Warszawy: „Minuta poezji": wiersz Franciszka Zabłockiego „List z Warszawy".
18.45: Odczyt: „Uniwersytet Jagielloński w życiu umysłowem Węgier w dawnych wiekach" (XV i XVI wiek), wygł. dr Henryk Barycz, doc. U. J.
21,00: „Pół godzinki z Wiednia" w wyk. Heleny Zboińskiej-Ruszkowskiej (sopr), przy fort. Wacław Geiger (na wszystkie rozgłośnie).
21,30: Z Warszawy: wieczór literacki: dyskusja improwizowana, odbyta w radjo angielskiem p. t.: „Kto ma wychowywać nasze dzieci".
23.05: Muzyka taneczna z płyt.

Wtorek, 5 maja.

12.03: Z Warszawy: dzien. południowy i audycja dla szkół (dzieci młodszych): „Śpiewajmy piosenki" prowadzi prof. Bron. Rutkowski.
16.15: Muzyka salonowa w wyk. oktetu Suire'a (płyty).
17.15: Z Warszawy: koncert kameralny w wyk. Ulricha Gebel'a (flet), Mary Kremer (klawesyn) i Volkmara Kohlschüttera (viola da Gamba).
18,00: „Same rumby" audycja muzyczna.
18.45: Kwadrans dla miłośników śpiewu (płyty).
20.05: „Poeta Coeteau opowiada", feljeton Jana Emila Skiwskiego, odczyta Teofil Trzciński.
20.10: Koncert symfoniczny w wyk. ork. symf. Filharmonji Poznańskiej pod dyr. Stanisława Wiechowicza i Kazimierz Wiłkomirski (wiolonczela).
22,30: Lucyna Szczepańska śpiewa (płyty).
23.05: Z życiem proszę państwa (muzyka taneczna z płyt).

Środa, 6 maja.

12,30: Koncert w wyk. ork. Tadeusza Seredyńskiego.
15.50: Muzyka popularna z płyt.
16.00: „Zagadki muzyczne" dla dzieci starszych w opracowaniu Ady Arzt i Tadeusza Seredyńskiego.
18.05: Arje operowe odśpiewa Tadeusz Łuczaj (baryton) przy fort. prof. Ludwik Urstein,
21.00: XXXV (ostatnia) audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina". Wykonawca: Zofja Rafja Rabcewiczowa.
22.05: „Pieśni o kwiatach" Roberta Stolza.
22.35: Muzyka taneczna.

Czwartek, 7 maja.

12,15: Z Warszawskiej Filharmonji: poranek szkolny dla młodzieży.
14.05: Pieśni majowe z wieży marjackiej.
17.15: Popularne melodje Bizet'a, koncert w wyk. ork. kameralnej pod dyr. dra Adama Hermana.
18.30: Pogadanka: „Postępy urbanistyki w Polsce".
20.00: Chór Dana i Mała ork P. R.
23.05: Koncert życzeń z płyt.

Piątek, 8 maja.

12.03: Audycja dla szkół: słuchow. „Kaczorek-Kwaczorek" Antoniego Bogusławskiego z ilustr. muz. Wład. Macury.
13,20: Utwory Debussy'ego i Albenitz'a (płyty).
16.15: Polscy revellersi (płyty).
17.20: Paul Juon: Kwintet Op. 84, na flet, obój, klarnet, róg i fagot
18.00: Koncert chóru Eryana.
19.00: „Co z nich wyrośnie?" — feljeton z życia dzieci ulicy wygł. Mgr. Juljusz Szymański.
20.00: Z Filharmonji warszawskiej: koncert symfoniczny w wyk. ork. Filharmonji pod dyr. Klemensa Krauss'a i Fryderyka Ursuleac (śpiew).
22.50: Muzyka taneczna.

Sobota, 9 maja.

12,25: „Kiedy kwitną fiołki" koncert w wyk. Małej ork. P. R pod dyr. Zdz. Górzyńskiego z udz. Mary Gabrielli, Stefana Witasa i „Trójki Radjowej".
15.15: Nasz handel morski i przegląd giełdowy.
15.30: Koncert w wyk. kwartetu salonowego rozgłośni krakowskiej.
17.00: Transmisja nabożeństwa majowego z kościoła N. M. P.
18.00: Koncert solistów w wyk. Nadzieji Pawlewskiej (fort) i Michała Sumnickiego (śpiew).
18.55: Caruso (płyty).
19.00: „Modlitwa przed świtem" (Kassydy Mauretańskie) w przekł. Jana Pogórskiego, recytuje Stefanja Kiljan.
21.30: „Wesoła Syrena" w opr. Marjana Hemara.
23.00: Muzyka taneczna w wyk. małej ork. P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego Magazynu »As«, zamieszcza Redakcja bezpłatnie.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.